

MARCIN
PODLEWSKI

NIECH
ZŁO, KTÓRE
BYŁO I JEST,
POZOSTANIE
Z TOBA,

KSIĘGA ZEPSUCIA

TOM 1



fabryka słów



MARCIN
PODLEWSKI
**KSIĘGA
ZEPSŪCIA**

ILUSTRACJE
ALICJA KAPUSTKA

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

*Obudzimy się wtuleni
W południe lata
Na końcu świata
Na wielkiej łące
Ciepłej i drżącej
Wszystko będzie takie nowe
I takie pierwsze
Krew taka gęsta
Tobie tak wdzięczna
Z tobą bezpieczna*

*Nad nami
Dmuchawce, latawce, wiatr
Daleko z betonu świat
Jak porażeni
Bosko zmęczeni
Posłuchaj
Muzyka na smykach gra
Do ciebie po niebie szłam
Tobą oddycham
Płonę i znikam*

Chodź ze mną

„Dmuchawce, latawce, wiatr”
Urszula



PROLOG

KRZESŁO

B było upalne, duszące lato, gdy Malkolm usłyszał, że zaczną wsadzać na krzesło.

Cały Federalny Kompleks Więzienny w kantonie Masovia już wcześniej huczał od plotek, ale niczego nie można było potwierdzić. Obieg informacji był skąpy, głównie przez monitoring. Podobnie jak w bliźniaczym ADX Florence w Kolorado ponad pół tysiąca osadzonych pilnowano stale za pomocą kamer, czujników ruchu i ECS – Electronic Chip Supervision. Elektroniczny Nadzór Chipowy przepchano ostatnią poprawką w Kodeksie karnym dzięki naciskom Komisji Systemu Penitencjarnego Zjednoczonego Cesarstwa.

Niemniej jednak krzesło pojawiło się – na początku w postaci ponurych żartów ze strony strażników, by wypłynąć wreszcie na koedukacyjnej stołówce i osadzić się na dobre w dyskusjach na spacerniaku. A potem, gdy więźniowie dostrzegli robotników dostawiających barakowate pomieszczenie przy bloku B, plotka okrzepła w fakt i stała się rzeczywistością.

– To najgorsze gównno – zauważył Hans Szmidt, tłusty współlokator z celi Malkolma, wiecznie dłubiący zapalką w swych wypielęgnowanych sztucznych zębach. – Gołą człowiekowi łeb, żeby włosy nie zadziałały jak izolator. Potem sadzają delikwenta i przyczepiają mu na rączki i nóżki obrączki z elektrodką. Jeszcze stalowy hełmik z fikuśną antenką, gumowy klocek w gębę i dwa tysiące woltów prosto w biedne dupsko.

– Niezbyt zachęcające – mruknął trzeci osadzony, niejaki doktor Cukier, któremu więźniowie przez zdiagnozowaną w skrzydle szpitalnym anoreksję zdążyli już nadać przydomek Chudy.

– No raczej – potwierdził Szmidt. – Jeśli miałbym wybór, wolałbym już cholerny zastrzyk czy szubienicę... – Hans wyciągnął zapalkę i przyjrzał się jej z uwagą, by po chwili ponownie wsadzić ją w zęby.

– Z tym akurat się zgodzę – przyznał doktor. – W przypadku zastrzyku zawsze dostaje się tiopenal, a tiopenal uspokaja. Dopiero potem pavulon osiem i chlorek. Wszystko jak za starych, dobrych czasów. Takie rozwiązanie wydaje się bardziej... godne.

– Tak samo jak szubienica – przypomniał Hans. – Dynda się szybko i jest szansa, że od razu trzaśnie ci kręgosłup. A godność? Najwyżej się zeszczasz i po sprawie.

Ale krzesło... O, człowieku, to jak pociąg do pieprzonego piekła. Co, Rud?

Malkolm nie skomentował, ale Szmidt nie oczekiwał potwierdzenia. Dyskusja i tak była jałowa. Wszyscy wiedzieli, dla kogo stawiany jest barak. Nie był on dla Hansa, siedzącego za malwersacje kredytowe, czy dla Cukra, za jego narkotykowe interesy. Nie był on nawet dla Ruda. Krzesło czekało na politycznych – takich jak pochlipujący teraz cicho na pryczy, zakutany w koc Darecki, ostatni, czwarty współmieszkaniec celi numer dwieście dwadzieścia sześć, którego z przyczyn administracyjnych nie zdążono przenieść jeszcze do bloku B.

– Nie jest wcale powiedziane, że taki biedak usmaży się od razu – zauważył czujnie doktor Cukier i Malkolm zrozumiał, że przedstawienie jeszcze się nie skończyło. – Niekiedy zabieg trzeba przeprowadzać kilka razy...

– Z ust mi to wyjąłeś, Chudy – skomentował z powagą Hans. – Ale mnie nie zaskoczysz, doktorze. Poszperałem sobie na ten arcyciekawy temat w więziennym terminalku. To informacje ogólnodostępne, bez konieczności wtykania szydła kontaktowego...

– Doprawdy?

– Dokładnie tak. Piszą tam, że trzeba się czasem napocić nad przełącznikiem, zanim dojdzie do całkowitego usmażenia białka. Ciało stawia ten, no... opór elektryczny. Ciężka sprawa.

Malkolm skrzywił się, a Darecki zachlipał nieco głośniej.

– Co za szczęście, że człowiek ubrudził sobie tylko rączki kredytkami czy pobawił się tabletkami... – weschnął Szmidt. Cukier zachichotał, ale widać dla Hansa

to wciąż było za mało. – Gdyby tak kiedyś przyszło mi do głowy robić jakąś małą rewolucję... oj, zastanowiłbym się dobrze dwa razy.

Ciało Dareckiego zadrgało spazmatycznie, ale Malcolm miał już dosyć. Ostentacyjnie obrócił się na pryczy i przykrył kocem. To wystarczyło, by rozmowy się skończyły. Darecki stanowił może drobny ekwiwalent rozrywki. Ale smażenie politycznych – niekoniecznie. Nie, kiedy pamiętało się o Tulpen.



W zasadzie Rud nie wiedział, jak się naprawdę nazywa. Pamiętał na pewno jej tatuaż – tulipan z kompletnie niepasującymi do niego kolcami. W stołówce koedukacyjnej – swoistej promenadzie łączącej blok A z blokiem B – siedziała tak jak on, z boku, odizolowana od reszty więźniów. Dlaczego tak było, dowiedział się szybko, gdy podszedł do niej Lucjan Taworski, zwany w więziennych kręgach Domowym Ninją, gwałciciel z celi sto dwadzieścia dwa.

Była to zapewne tylko demonstracyjna zaczepka – w stołówce był przecież monit – ale Tulpen zdążyła wstać, wykręcić rękę wyższemu od niej o głowę mięśniakowi, kopnąć go boleśnie kolanem w krocze i wbić mu twarz w wypastowaną stołówkową posadzkę.

Dopiero wtedy – zapewne z zaplanowanym przez strażników opóźnieniem – puszczony z dyspozytorni sygnał aktywował chip ECS, który strzelił dawkowanym napięciem, i Tulpen przewróciła się, tracąc przytomność.

Do stolika Malkolma dosiadła się dwa tygodnie później.

– Cześć – powiedziała, ostentacyjnie stawiając stalową tackę z serwowaną im białkową breją. – Tulpen.

Rud nie odpowiedział. Uniósł tylko lekko głowę, patrząc na czarnowłosą, ładną dziewczynę o szarych, zimnych oczach, które zdawały się przekazywać o wiele więcej niż wąskie, zaciśnięte usta. Miała może dwadzieścia siedem, może dwadzieścia osiem lat.

– Słuchaj – zaczęła, nie przejmując się jego obojętnością. – Chcę wiedzieć, jaki jest twój sekret, okej? Mam już dosyć. Pieprzony chip gówno daje. Wczoraj próbowano mnie zgwałcić ze dwa razy i w końcu jakiś zbok mnie dorwie. Albo jakaś cholerna lesba.

Malkolm nabrał nieco brei na plastikową łyżeczkę. Orientował się, co miała na myśli. Kiedy wprowadzono ECS, media ogłosiły sukces w zakresie kontroli nad osadzonymi. Koniec z tłumem strażników łączących za każdym więźniem. Koniec z rozdzielaniem płci w zakładach karnych – może z wyjątkiem cel. Koniec z generowaniem niepotrzebnych kosztów i szkoleń, koniec z cesarskimi zapomogami dla tak licznych byłych pracowników więzienia. I przede wszystkim – koniec z więzienną agresją. Wystarczy okablowanie skazanych stałym monitem i siedzący za biurkiem strażnik, który w odpowiednim momencie naciśnie guzik.

Ale to, co pokazywano w płasko- i holowizji, było tylko marketingową pulpą. FKW Masovia, tak jak większość zakładów karnych w Cesarstwie – i poza nim – miał swe martwe punkty, plamy szarości, do których nie docierało szklane oko kamery.

Tyle że więźniowie świetnie wiedzieli, gdzie były owe strefy. Nie dokonywano w nich może morderstw – każdy przypadek zabójstwa skutkowałby natychmiastowym spaleniem martwego punktu i jego okablowaniem po fakcie – ale z ochotą robiono co innego. Gwałty i pobicia były tu na porządku dziennym, tak samo jak narkotykowy czarny rynek. ECS zostało więc zasymilowane przez system, ale nie zapobiegło to powstaniu luk, tym bardziej że co cięższe przypadki nadużyć w szarych strefach po prostu wyciszano, by nie zakręcić kapiącego kredytemi cesarskiego kurka.

– Słyszałeś może o tym modelu z waszego bloku? – kontynuowała niezrażona Tulpen. – Podobno nie może usiąść po tym, co mu zrobili w pralni. A ta dziewczyna, ta od zadżganego ojczyrna? Twierdzi, że sama się pocięła. Gówna prawda.

Malkolm drgnął. Przez moment poczuł lekkie ukłucie, ale zdusił je w sobie. Przymknął oczy. Breja była pa-skudna.

– Po prostu powiedz, jak to robisz – w głosie Tulpen zabrzmiało coś podobnego do prośby. – Nie należysz do żadnego gangu, co?

– Nie – odmruknął niechętnie, widząc, że nie odpuści.

– Nieważne – uznała. – I tak by mnie nie przyjęli. Polityczna – dodała, krzywiąc się lekko i odsuwając włosy z karku tak, by mógł dojrzeć fragment wytatuowanego kodu kreskowego.

– Niebieski krzyżyk? – spytał, widząc obecny obok kodu fragment kolorowego oznaczenia. Dziewczyna skrzywiła się lekko.

– Zauważyłeś, co? – mruknęła, zakrywając z powrotem więzienny tatuaż. – Okej, jest tam. Niebieski krzyżyk. Oznaczona „ułomność psychiczna” – wyjaśniła dziwnie spokojnym głosem, tak jakby symbol nie miał większego znaczenia. – Jeśli chcesz wiedzieć, to typ dwadzieścia dwa. Zdiagnozowaną borderline miałam od zawsze, ale po tej przygodzie z polityką dorzucili mi elementy psychotyczne. Psychoza poszczepienna. – Skrzywiła się. – Wystarczy jeden zastrzyk.

– Poszczepienna? – spytał niepewnie. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Standardowe postępowanie Cesarstwa. Kara psychologiczna – powiedziała pozornie obojętnym tonem. – Nie wiesz, co robią z politycznymi, by ich dyskredytować? Robią z nas wariatów. Ale nie na tyle nieatrakcyjnych, by nie spróbować nas zgwałcić.

Rud nie skomentował.

To, co powiedziała wcześniej o dziewczynie, która zabiła swojego ojczyma, dziwnie w nim utkwiło i czuł, że łatwo się tego nie pozbędzie. Ale Tulpen jeszcze nie skończyła.

– Mam cię prosić? – jej słowa zmieniły się nagle w nerwowy szept. – W porządku. Niech ci będzie. Proszę. Po prostu powiedz, czego chcesz za ochronę. I nie ściemniaj, że nie masz tu żadnej władzy. Widziałam, jak na ciebie patrzę.

– To nie to – odmruknął, powoli odsuwając od siebie tacę. – Zostaw ten temat. Nie mogę ci pomóc.

– Gówno prawda! – syknęła i niespodziewanie złapała go za rękę. Uścisk miała mocny. – Po prostu... – wycedziła – powiedz... jak... to... robisz!

– Dupa się naprzykrza? – usłyszeli spokojny głos niejakiego Pomogitie, obywatela kantonu rosyjskiego, obecnie osadzonego za rozbój na piętnaście lat.

Malkolm uniósł głowę, a Tulpen puściła jego rękę. Pomogitie, wyglądający na zmęczonego ruskiego siłacza z podrzędnego cyrku, podrapał się po gładko ogolonej brodzie.

– Pomogitie? – spytał, zartobliwie nawiązując do swego przydomka. Ale Rud wiedział, że lekkie skinienie głową może sprawić, że dziewczyna nie przeżyje do jutra.

– Nie trzeba, dam sobie radę – powiedział. Pomogitie uśmiechnął się i pokiwał powoli głową.

– Jakby co, wołać – dodał, wracając do swojego stolika.

Malkolm uśmiechnął się krzywo. Sprawa wyglądała na skończoną, ale coś powstrzymało go przed ponownym wlepieniem wzroku w porcję brei.

Dziewczyna płakała.

Na plus trzeba jej było przyznać, że robiła to bezgłośnie. Łzy spływały jej po twarzy, ale zdawała się ich nie zauważać. Dopiero po chwili przetarła je ręką i złapała za tacę.

Wstając, popatrzyła na niego jeszcze raz. Otworzyła usta, ale zdusiła przekleństwo.

– Zaczekaj.

To ją powstrzymało. Uniosła brwi.

– Niczego nie mogę ci obiecać – powiedział cicho. – To nie wygląda tak, jak myślisz. Ale możesz tu siadać. O ile przetrwasz jeszcze kilka dni.

– Jak to: siadać? – spytała niepewnie. – Mam z tobą jeść? I to ma mi niby pomóc?

– Tak – odparł, unosząc głowę i po raz pierwszy patrząc jej prosto w oczy. – Najlepiej codziennie. Musisz jednak poczekać, aż to się rozejdzie. Jeśli trochę wytrzymasz... może dadzą ci spokój.

– A to niby czemu? Masz jakieś pole siłowe czy co? Krąg bezpieczeństwa?

– Tak – odparł niechętnie. – Coś w tym stylu.

– Nie rozumiem...

– Tu nie ma nic do rozumienia – powiedział, wstając i zabierając ze sobą tacę. – Do jutra.

I tak to się zaczęło.

To, że znowu ją atakowano, widział dość wyraźnie. Przyszła z opuchniętą wargą, potem z podbitym okiem. Starał się nie patrzeć, choć dostrzegał zdartą skórę na kostkach jej palców.

Musiała się bronić, i potrafiła to robić, choć sporo ją to kosztowało. Była ładna, a więc było jej ciężko. Ale przetrwała.

I nagle – z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień – przestali ją atakować. Zauważyli. I snuli domysły, wyrażone lekko kpiącymi, ale i pełnymi aprobaty spojrzeniami. Może przez to wydał się im nagle bardziej ludzki i bardziej przystępny, ale granica nie została jeszcze przekroczona. Nadal tkwił w sferze zero, w swym osobistym polu siłowym, wyśmianym na początku przez Tulpen, odnawianym zawsze w soboty, gdy przychodziła Lidia – jedyna dziewczyna, o której nikt ze współwięźniów FKW Masovia nie powiedział nigdy „lala”, „dupa”, „karyna” czy „maniura”. Jedyna wystraszona nastolatka, którą traktowano z takim samym szacunkiem jak jego.

Oczywiście prosił, by tego nie robiła. Prosił, by nie wracała do tego miejsca. I choć czekał na te spotkania, tak jak czeka się na świeży haust powietrza, za każdym razem prosił ją o to samo.

Ale Lidia go nie słuchała. Zawsze była uparta. Milczała tylko i trzymała go za rękę. Niekiedy przykładła jego dłoń do twarzy i całowała. I choć nie płakała już jak na samym początku, to jej oczy płonęły blaskiem, którego to, co się jej przydarzyło, nie potrafiło zgasić, choć zapłaciła naprawdę wysoką cenę. Cenę, o której w końcu dowiedziała się dziewczyna z bloku B.

Tego dnia wylądowali z Tulpen na dyżurze w pralni. Rud składał właśnie drelichy, by upchać je do wysokoobrotowej wirówki Electrolux Laundry Systems, gdy usłyszał ciche chrząknięcie.

To była Tulpen, która przysunęła się nieco i pod pozorem wyrównania stosu wykrochmalonej pościeli stanęła tuż obok niego.

– Malkolm – odezwała się nieco zachrypniętym głosem. – Nie wiedziałam.

– W porządku – odparł.

– Chciałam... – zaczęła, ale Rud odwrócił się do wirówki i szarpnął za uchwyt okrągłych drzwiczek. Electrolux pisnął i wyświetlił panel programatora.

– Nie trzeba – powiedział, starając zająć się brudnymi ciuchami. Tuż obok kręcili się inni więźniowie i Malkolm wyczuł, że zrobiło się dość cicho. Najwidoczniej zachowanie Tulpen wzbudziło ciekawość, tak jak i jego reakcja. A na to nie miał kompletnie ochoty.

– Przepraszam... – powiedziała, przysuwając się nieco bliżej.

– Nie trzeba – powtórzył, zamykając drzwiczki. I na tym się skończyło. Ale, jak później się okazało, skończyło się tylko teoretycznie.

Nie potrafił powiedzieć, dlaczego sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej. Pozornie niewiele się zmieniło. Tulpen nadal siadała przy jego stoliku, korzystając z umownej, roztaczanej przez niego ochrony, ale było już inaczej. Po pierwsze, częściej na niego patrzyła – choć kiedy odwzajemniał spojrzenie, uciekała wzrokiem. Po drugie, wyglądała na nieco bardziej skrępowaną niż na początku. I po trzecie, zaczęła mówić o tym, co dzieje się w politycznym bloku B.

Z początku przypominało to nieporadny monolog, by później przekształcić się w dziwnie chłodną relację. Malkolm dowiadywał się zatem o supernowoczesnych celach na wysokim monitoringu ECS, o okresowych przesłuchaniach i nadużyciach przy włączaniu chipów. A także o trzech salach śmierci, wybudowanych o wiele wcześniej niż barak z krzesłem: o tej z zastrzykiem, zwanej przez więźniów Pocałunkiem na Dobranoc; o skurnym pomieszczeniu o nazwie Szyjka, będącym niczym innym jak szubienicą z zapadnią; i Sali Pif Paf – czyli dźwiękoszczelnym segmencie przeznaczonym do egzekucji przez rozstrzelanie. Zjednoczone Cesarstwo najwidoczniej nie próżnowało. Materiału miało w końcu sporo – wystarczyło zaczerpnąć z historycznych danych wszystkich zrzeszonych państw bloku wschodniego i drobnej części byłej Europy Zachodniej.

– Podobno teraz o winie będzie decydował komputer – powiedziała mu któregoś dnia. – Każdy polityczny otrzyma pulę punktową, na którą ma się składać opinia

prokuratury, opinia polityczna i społeczna. W ten sposób program zastąpi sąd i wszyscy będą załatwieni.

– Załatwieni? – mruknął, przełykając porcję jajecznicy z proszku. Rud odzywał się rzadko i zaciekawienie tematem Tulpen mogła uznać za sukces. Uśmiechnęła się lekko, choć był to gorzki uśmiech.

– Tak – potwierdziła. – Stare, typowe przestępstwa poddadzą zwykłej weryfikacji kodeksowej w systemie karnym, ale punkty polityczne będą doliczane przez urzędników Cesarstwa. Społeczne dorzucą już sami obywatele. A w Sieci... – skrzywiła się – w Sieci większość zagłosuje za egzekucją. I będziemy mieli szczęście, jeśli punkty skierują nas na Pocałunek. Nieźle, co? – spytała, nie czekając na odpowiedź. – Wszyscy polecą na odstrzał. A ja... – zakończyła dziwnie martwym, pozbawionym emocji głosem – ja to już na pewno.

Dopiero kilka dni później dowiedział się, co miała na myśli. Jej dane były co prawda utajnione, ale w więziennym, dostępnym w bibliotece terminalu przyznali jej literkę R i, nie licząc niebieskiego krzyżyka, czerwony znacznik w dokumentacji. „Rebeliant” – szepnął Malcolm bezgłośnie. Cokolwiek Tulpen zrobiła, była już zatem skazana – nawet bez głosowania w Sieci.

I może ta świadomość sprawiła, że wszystko potoczyło się dalej tak, a nie inaczej.

W zasadzie nie potrafił powiedzieć, dlaczego to się stało. Po prostu w pewnym momencie, w jednym z martwych punktów w okolicy skrzydła szpitalnego, Tulpen zbliżyła się do niego i popatrzyła mu w oczy.

Nie wiedział nawet, kiedy jej dotknął. Była rozpalona, jakby miała gorączkę, i objęła go tak mocno, że nie-

mal boleśnie. Szukał ustami jej warg i gdy wreszcie je odnalazł, kompletnie się zatracił. Gdzieś w tle mignął mu jej niebieski krzyżyk na karku i właśnie to mogło go powstrzymać, ale nie powstrzymało – może dlatego, że trwało to tak krótko. Do niczego więcej nie doszło, rozdzieliły ich zbliżające się kroki osadzonych, ale w tej chwili poczuł się tak, jakby oberwał obuchem w głowę. Niczego nie zmieniły nawet wyrzuty sumienia i dopiero późniejsza wizyta Lidii sprawiła, że znów zapadł się w siebie: w gęstą, żarłoczną ciemność.

Tulpen była jednak cierpliwa. Nie zareagowała, gdy przez następne dni odsunął się od niej. Wciąż siadała przy jego stoliku i milczała lub przekazywała mu kolejną suchą, pozbawioną emocji relację, tak jakby pragnęła ukryć tę chwilę, która rozegrała się pomiędzy nimi w jakimś innym, bezpieczniejszym miejscu. Zastanawiał się – czy czuła to samo co on? Czy to, co jej wszczepiono, mogło wpłynąć na jej uczucia? A może stanowił dla niej pewną stałą, twardy punkt oparcia, dzięki któremu nie wpadła w poszczepienne szaleństwo? Były to tylko myśli, lecz nie chciały go opuścić – w końcu jego życie od niemal trzech lat składało się głównie z myśli, z niemożności boksowania się z pustką, z niekończącej się świadomości utraty.

Potrzeba było kolejnych dni, by wszystko powróciło: najpierw jako ponowne uderzenie bólu i stopienie się z ciemnością, i później – jako kolejny wykradziony moment intymności w martwym punkcie, gdy Tulpen szepnęła jego imię i zadrżała w jego rękach. Za ten moment Malkolm znów sporo zapłacił: powrotem rozpaczki zmieszanej z poczuciem winy, a także obawą przed tym,

co wciąż przed nim ukrywała. Ale nie uchroniło go to przed następną potajemną schadzka poza systemem inwigilacyjnym.

Później – gdy wszystko się skończyło – zastanawiał się wiele razy, czy mógł ją pokochać. Czy był to tylko objaw głodu, który nie doprowadził do nasycenia. A może głównie litość z powodu tego, co jej uczyniono, zmieszana z pożądaniem i pragnieniem ochrony tego, co było w niej pęknięte. Nic więcej nie otrzymał, nie licząc tej szybkiej, wykradzonej bliskości – i na nic więcej nie liczył. Może gdyby mieli więcej czasu, mógłby dowiedzieć się, co czuł naprawdę. Ale czas się skończył. Bo gdy tylko w FKW Masovia nadeszło upalne, duszące lato, wraz z nim pojawiło się krzesło. A tydzień po nim przybył kapelan – i razem z nim nadszedł koniec.



Mówiono o nim, że przybył do zakładu czarnym, urzędowym jazdolatem Cesarstwa i że jego przybycie zwiastował kwaśny deszcz. Mówiono, że przypominająca stary samochód maszyna przeleciała najpierw nad całym kompleksem, jakby jej pasażer zamierzał poobserwować osadzonych niczym mrówki uwięzione w stalowym terrarium. Mówiono też, że wylądował w momencie, w którym gasło już słońce, jak gdyby owa sceneria miała jakiegokolwiek znaczenie. Nie zmieniało to faktu, że przybył i natychmiast udał się do biura dyrektora, niczym odziana w czarny habit, stara i wychudzona śmierć.

Tej nocy przyszli po Dareckiego.

W celi dwieście dwadzieścia sześć najpierw rozległ się brzęczyk informujący o konieczności przygotowania pomieszczenia do niezapowiedzianej wizytacji. Hans i Cukier wstali odruchowo, podobnie jak Malkolm, i na wpół przytomni stanęli przy swoich pryzkach. Darecki, zapewne wskutek przecucia, wcisnął się gdzieś w kąt. W nagle zapalonym czerwonym świetle wyglądał, jakby chciał wpasować się w ścianę. Gdy przybyli strażnicy trzymający w dłoniach piloty ECS, Darecki zaczął chlipać i błagać, ale niewiele to dało. Odciągnęli go od ściany, wyszarpnęli z rąk ściskany kurczowo koc. Nie wduśli nawet przycisku – nie było takiej potrzeby. Darecki oklapł, był słaby jak niemowlę.

– Przeniesienie – powiedział jeden z klawiszy, gdy wyciągnęli go już na zewnątrz.

– Dokąd? – zaciekał się doktor Cukier i strażnik, ku zaskoczeniu Ruda, odpowiedział:

– Blok B.

Na tym konwersacja się skończyła. I na tym też skończył się Darecki. Więcej już nie zobaczyli.

– Usmażyli biedaka – stwierdził następnego dnia Szmidt w trakcie obowiązkowego spaceru. Dreptali po ziemi wciąż mokrej po nocnym deszczu, ale kałuże parowały szybko, termometry wskazywały plus trzydzieści stopni. – Poszedł na testy.

– Nie możesz tego wiedzieć – oponował Cukier, ale Hans splunął tylko, patrząc, jak kilku osadzonych próbuje grać w kosza na kawałku asfaltowego boiska.

– Nie budowali tego gówna na darmo – stwierdził. – Nikt nie będzie marnował kredytów na atrapę. Już po herbatniku. Widzieliście przecież kruka – dodał, rzu-

cając niedbale starym grypsem opisującym kapelana. – Przylazł powyciągać nawijkę. Może Darecki coś wiedział... więc go przemaglowali przed puszczaniem mu wolta.

– Jeśli tak, to teraz wezmą się hurtowo za politycznych – zauważył Cukier, kątem oka zerkając na milczącego, idącego obok Malkolma. Rud jednak nie zareagował, więc chudy doktor nie rozwijał tematu.

To, że FKW poleci serią, było dość prawdopodobne i Malkolm przymknął na moment oczy. Tulpen, pomyślał. Siedząca przy jego stoliku. Z podbitym okiem i z tatuażem tulipana z kolcami, którego miał nigdy w pełni nie zobaczyć. Tulpen, ze wstydem zakrywająca dłonią swój niebieski krzyżyk. Tulpen zdająca mu relację, Tulpen – kobieca i ciepła, pragnąca jego dotyku. Tulpen, za którą nagle – nie wiadomo jak – stał się odpowiedzialny. Tulpen wsadzona na krzesło. Tulpen zamordowana w majestacie cesarskiego prawa.



Zobaczył ją jeszcze raz, choć tylko przelotnie. W noc, kiedy go zabrali.

Przez kilka kolejnych dni nie przyszła na stołówkę, ale nie było w tym nic zaskakującego. Osadzeni z politycznego przestali się pojawiać, gdyż – jak wygadał się jeden ze strażników – trwała „mała reorganizacja bloku”. Wyjaśnienie, jak uznał Rud, było wszakże nieco naciągane. Tak czy owak, jeśli na więźniach przeprowadzano nadprogramowe egzekucje, żaden z klawiszy nie puścił pary z ust. Monit robił swoje, a plotka musiała być na

tyłe niebezpieczna, że powstrzymała gadulstwo. Dlaczego, poinformował ich dopiero Cukier.

Rzekomo w dwóch więzieniach doszło do buntu i sprawa mogła, choć nie musiała, mieć jakiś związek z przyspieszeniem wyroków śmierci. Tym samym jakakolwiek gadka na ów drażliwy temat mogła skończyć się wywaleniem z pracy albo i jeszcze gorszymi konsekwencjami.

– Śliska sprawa. Chodzi o wybory kantonowe – oznajmił chudy doktor, gdy siedzieli w celi. – Każdy gubernator pragnie podliznąć się cesarzowi. A najlepszym na to sposobem jest uciszenie tych, którzy gardłowali za przestarzałą demokracją i innymi skompromitowanymi systemami. Mamy mieć teraz rządy twardej ręki, panowie. Koniec z głaskaniem po główce.

– A przedtem niby twardo nie było? – zaciekawił się Hans. – Zaraz po Trójce?

– Nie było żadnej trzeciej wojny światowej... – skrzywił się Cukier. Malkolm westchnął cicho, jak zwykle, gdy doktor wsiadał na swojego ulubionego konika. – Tylko zmasowana, kilkuletnia seria globalnych konfliktów zbrojnych. Tak zwanych „rozładowań kumulacji napięcia” po złamaniu byłych granic państwowych... wtedy, gdy polityka nadmiernej otwartości wzięła w tak zwany łeb.

– I to niby nie Trójka?

– To już było wcześniej – zauważył doktor. – Tylko nie w takiej skali. I zaczęło się jeszcze przed reformacją Unii Europejskiej w strukturę paramilitarną.

– Nawtykali ci głupot, doktoru – zauważył Szmidt, ale Cukier nie chwycił przynęty. Produkował się jeszcze o prymacie Państw Środka, o powrocie do monarchii-

stycznych wartości europejskich i o wskrzeszeniu zasad Wiecznego Imperium w obliczu dalekowschodniego zagrożenia, ale Rud nie słuchał. Usnął.

Obudził go brzęczyk.

Tym razem wstał ostatni, z lekkim bólem głowy, i półprzytomny stanął przy pryczy. Cukier i Szmidt patrzyli na niego bez słowa, skąpani w czerwonym świetle alarmu. Chciał spytać, co się dzieje, ale nagle zrozumiał, tak samo jak pojął, skąd musiała się wziąć nietypowa senność. Kuchnia. Ostatni wręczony mu obiad wypchany był po brzegi benzodiazepiną.

Przyszli po niego.

Było ich trzech, co uznał za lekką przesadę, i niemal od razu wzięli go pod rękę. Rud usłyszał jeszcze pytający głos Szmidta skierowany w stronę strażników, ale tym razem współwięźniowie nie doczekali się odpowiedzi. Drzwi zamknęły się za nimi z cichym świstem, alarm ucichł. Ruszyli.

Szybko domyślił się, gdzie idzie. Jedna, potem druga bramka za stołówką. I stalowy, zimny korytarz bloku B, wypastowany do granic niemożliwości, nierealnie czysty. Tu, podobnie jak w A, siedziano za drzwiami z lufcikiem, przez który Malkolm zobaczył nagle jej szare oczy.

– Rud!

Chciał odpowiedzieć, ale plątał mu się język. Ostatnie metry pokonał podtrzymywany przez milczących klawiszy, podczas gdy trzeci wprowadził już kod do celi. Celi, w której nie było nikogo. Celi, z której miał już nie wyjść.

Lidia, zrozumiał nagle. Już jej nie zobaczy...

Szarpnął się, zaparł. Jedno wiedział na pewno – blok B oznaczał koniec odwiedzin. Ulokowani tu polityczni nie

mogli mieć kontaktów ze światem zewnętrznym. Skazując go na ich towarzystwo, odcinali go od córki – jedynej osoby, która mu jeszcze pozostała. Jedynej, dla której pragnął przeżyć.

– Spokojnie – powiedział niemal dobrotliwie jeden ze strażników. – Nic się nie dzieje. No już. Grzecznie.

Były to pierwsze i ostatnie słowa, jakie do niego powiedzieli. Sekundę później wylądował w nowoczesnej celi numer trzy: pomieszczeniu wyposażonym w stalowe lustro, wkomponowane w ścianę radio z jedną polityczną stacją i czarno-biały, tani płaskoekran zastępujący okno. Rud zdążył się jeszcze odwrócić, by zobaczyć, jak zamykające się za nim drzwi zabierają resztki wpadającego przez nie światła z korytarza.

Został sam.

Z początku z trudem odnajdywał się w ciemności. Potem wzrok zaczął się do niej przyzwyczajać. Łatwo znalazł kształt łóżka z półtwardym materacem, poduszką i ocieplanym kocem. Lepsze warunki, opiewane przez media. Humanitarność dla politycznych, którzy wykazali się brakiem humanitaryzmu. Łaska cesarza dla zdrajców, którzy stawiali osobiste korzyści ponad ideały Cesarstwa. Pozłacana klatka dla najciekawszych obiektów. Ale on nie był obiektem. Nie miał nic wspólnego z polityką... chyba że chodziło o kwestię Tulpen. Dziewczyny, przez którą już nigdy nie miał zobaczyć Lidii...

Nie, w to uwierzyć nie mógł. Nie potrafił. Nie zmieniło to jednak faktu, że już tej nocy nie usnął, oszołomiony lekami i wpatrzony w gęstą czerń.



– Malkolm Rudecki? Numer... – siedzący w celi urzędnik zawahał się przez chwilę, zerknął w mikro-czytnik – dwa tysiące pięćdziesiąt dwa?

– Tak – odparł Rud. Stojący obok urzędnika strażnik wyglądał na znudzonego, bawił się pilotem. Malkolm czekał.

– Co to za całe „Rud”? – zaciekawił się przeglądający dokumentację urzędas.

– Skracają – wyjaśnił sucho strażnik. – Po numerze ma pan M łamane na RUD. Więźniowie szybko podłapują te skróty.

– Niech będzie. Ale nie mam tu ostatnich danych zdrowotnych – poskarżył się urzędnik. – Do uzupełnienia – rzucił ni to do siebie, ni to do klawisza. – Dobrze. Proszę zostawić mnie ze skazanym.

– Nie wiem, czy... – zaczął klawisz, ale urzędnik zamachał niechętnie ręką. Wymuskany, w cesarskim uniformie, o krótkiej przystrzyżonej bródce, wyglądał, jakby odganiał jakiegoś uciążliwego owada.

– Proszę nas zostawić – powtórzył. – 2052 M/RUD nie należy do osobników agresywnych. Wystarczy pilot.

Klawisz nie oponował więcej. Wzruszając lekko ramionami, przekazał urządzenie i przyłożył dłoń do czytnika. Drzwi odblokowały się, strażnik wyszedł. Zostali sami.

– Jestem Damian Sobis, patent 134B, prawnik więzienny – poinformował Malkolma urzędnik, odkładając pilota ECS na rozłożony przed sobą przenośny stolik. – I jestem tu po to, by poinformować, że pański wyrok uległ... prawnemu przekształceniu.

– Przekształceniu? – nie zrozumiał Rud.

– Dokładnie tak – zgodził się prawnik. – Co my tam mieliśmy...? Paragraf sto czterdzieści osiem podpunkt pierwszy według starego KK... po normalizacji prawnej uzupełniony o część B. Działal pan w stanie silnego wzburzenia... czyli mieliśmy afekt – dodał, przeglądając rozpiskę. – Z tego, co słyszałem, zmasakrował pan tych ludzi.

– To nie byli ludzie – odparł Malkolm, dziwiąc się, że mówi to wyjątkowo spokojnym głosem.

– Rozumiem – chrząknął urzędnik. – Ale prawa, a tym bardziej cesarza nie interesuje pańska opinia co do człowieczeństwa pańskich ofiar.

Tatusiu, ratunku! Tatusiu!

– Jako człowiek rozumiem ten... przypadek – uznał prawnik. – Ale postępuję według wytycznych Cesarstwa i paragrafów znowelizowanego Kodeksu karnego. Chwilęczkę... – powiedział, zagłębiając się w dane na mikroczytniku. Malkolm nie zareagował. Przymknął oczy.

Przez krótką, potworną chwilę widział przewrócony holowizor, potłuczone szkło i pokryty krwią salon własnego domu... oraz leżącą na ziemi żonę w zaawansowanej ciąży, z poderżniętym gardłem, i gwałconą brutalnie córkę... a także trzech przeklinających i śmiejących się głośno zwyrodnialców...

Tatusiu! Nie! Tato!

– Panie Rudecki? Słyszysz mnie pan?

– Tak – odparł odrobinę ochryple. – Słyszę.

– Jak wspominałem, została zmieniona kwalifikacja prawna pańskiego czynu – powtórzył urzędnik. – Jednym z zamordowanych przez pana napastników był niejaki Cyprian Salowski, syn Konrada Salowskiego. Może

go pan kojarzy? Najmłodsza z pańskich ofiar, niespełna dziesiętnastoletnia.

– Kojarzę jego nóż – zgodził się sucho Rud. – Słyszałem, że miał się nim wykazać przed kolegami. I wykazał się.

Prawnik odkaszlnął.

– Tak. Eee... khem... wracając do sprawy... Powinien pan wiedzieć, że Konrad Salowski nie jest już urzędnikiem średniego szczebla. Awansował do stopnia gubernatora wschodniego kantonu Masovii...

– Doprawdy? Gratulacje.

– Ironizuje pan? Podobno często pan to robi... cóż... tak czy inaczej, muszę poinformować pana, że pański czyn został podniesiony do poziomu zbrodni politycznej.

– Tak? – spytał martwo Rud. – Prawo nie działa podobno wstecz.

– Ta sprawa nie została nigdy definitywnie zamknięta – wyjaśnił urzędnik. – Przypominam, że z punktu widzenia prawa karnego przebywał pan w areszcie, oczekując na ostateczny wyrok po pańskiej apelacji. A ostatnio... gubernator dostarczył dowody na to, że syn Konrada, Cyprian Salowski, współuczestniczył w, eee... posiedzeniach programowych, mających na celu awans polityczny jego ojca... i tym samym zyskał status nieoficjalnego doradcy politycznego Cesarstwa.

Malkolm prychnął.

– To sfabrykowane kłamstwa – odparł zimno.

– Radziłbym uważać z takimi oskarżeniami – zachnął się prawnik. – Mówi pan o szanowanym obywatelu Cesarstwa.

– Szanowanym? – skrzywił się Rud. – Może, ale jego pozycja ma się nijak do jego syna. Miałem czas, by po-

czytać sobie o Cyprianie i dwóch pozostałych typkach: Hansenie i Lodzie. Synek gubernatora miał problemy z narkotykami i kilka udowodnionych przestępstw. Gdyby przeżył, sam by tu teraz siedział.

– Być może, ale skutecznie mu to pan uniemożliwił – oznajmił prawnik. – To wszakże nie ma wiele wspólnego z obecną sprawą... – Głos urzędnika stał się nagle suchy i rzeczowy, jakby jego właściciel dukał wyuczoną formułkę. – Wraz z uzyskaniem przez pana statusu więźnia politycznego automatycznie stracił pan prawo do apelacji. Tym samym pański przypadek podpada pod znormalizowany system karny JUDEX, który podejmie decyzję w pańskiej sprawie w oparciu o obowiązujący Kodeks karny i tak zwane PS, czyli opinię polityczno-społeczną.

Komputer, przypomniał sobie Malkolm. Tulpen mówiła o systemie, z którym nie można wygrać...

– Nie macie prawa... – zaczął, ale uprzejma maska nałożona przez urzędnika nagle zniknęła. Prawnik chwycił pilota ECS.

– Radzę, by nie poddawał się pan wzburzeniu – wymamrotał, wstając pośpiesznie od stolika i cofając się w stronę drzwi. – A co do prawa, panie Rudecki, to tylko przypominam, że to my nim jesteśmy... Proszę nie wstać! – rzucił nieco piskliwie, bo unoszący się z wolna Malkolm patrzył na niego tak, jakby i jego miał ochotę rozsmarować po ścianach. – Bo nacisnę! Rozumie pan? Nacisnę!

– A naciskaj sobie – wycedził Rud. Ale prawnik już go nie słyszał. Niemal wybiegł z celi, zabierając ze sobą pilota, mikrocyfry i ostatnie resztki nadziei.



Kapelan przybył kilka dni później.

Tego, że upływały dni, Malkolm dowiadywał się z rogu płaskoekranu. Nie wychodził już; skutecznie ograniczono mu swobodę. Znacznie lepsze od stołkówkowych posiłki podawano mu przez specjalny podajnik, ale to, że nagle zamiast białkowo-witaminowej brei pojawiło się mięso, frytki i neocola, nie poprawiło mu humoru. Miał złe przeżucia. Przeczucia, które wpędzały go w ciemność.

Nocą myślał o wszystkim, co go spotkało. O spojrzeniach osadzonych, którzy powitali go w więzieniu burzliwymi, gorzkimi oklaskami. O sferze szacunku, otaczającej go niczym ochronny krąg. I o Tulpen, która pragnęła schronić się w jego cieniu. Ale najmocniej i najboleśniej myślał o Lidii. O twarzy swej córki biorącej go za rękę i całującej jego dłoń. O ich pełnych milczenia spotkaniach i o oszczędnych informacjach, które docierały do niego niczym zapomniane resztki światła: o nowej szkole, opiekującej się Lidią ciotce, o dobrych stopniach... Tyle razy prosił ją, by nie przychodziła, ale teraz oddałby wszystko, by zobaczyć ją jeszcze raz. Ale nie odwiedził go już nikt – nie licząc starego kruka.

Czuł, że coś jest nie tak tego dnia. Zbyt szybko włączono mu światło i uruchomiono prysznic. Po raz pierwszy spytano go też przez głośnik, co chce dostać na śniadanie, i gdy nieco oszołomiony zamówił jajecznicę z boczkiem, podano mu ją po ledwie piętnastu minutach, dokładając chleb i plastikowy kubek z gorącą, aromatyczną herbatą. Zjadł i wypił, starając się nie myśleć, i gdy tylko usłyszał buczenie systemu, odruchowo wyrzucił resztki do kosza na śmieci. A potem otworzyły się drzwi i przez próg przestąpił kapelan.

Był taki, jak szeptano na spacerunku. Wysoki i chudy, odziany w starą czerń. Nie przypominał księży, których Malkolm widział w mediach – tłustych, rumianych i uśmiechniętych, proszących o kredyty podczas holowych zbiórek. Sztywny i kościsty, o twarzy napiętej jak stary pergamin, nosił czarne okulary ślepca i wspierał się na wysuwanej teleskopowo lasce.

– Malkolm – powiedział. Głos miał słaby i szeleszczący jak jesienny liść. – Dwa tysiące pięćdziesiąt dwa. Czy mogę usiąść, synu?

Rud cofnął się odruchowo. Kapelan wydzielał dziwną woń starej naftaliny zmieszanej z mdłym olejkiem o zapachu zwietrzałego piżma.

– Tutaj – ogłosił ni to do Malkolma, ni to do siebie, stukając laską i znajdując dzięki niej pryzcę.

Usiadł na niej i skierował twarz ku Rudowi. Jego czarne okulary odbijały światło elektrycznych lamp.

– Dziękuję.

Malkolm nie odpowiedział. Kruk oparł dłonie na lasce. Na jednym z palców połyskiwał mu sygnet z czarnym, źle oszlifowanym kamieniem.

– Gniew, synu – powiedział. – Najbardziej szlachetny z grzechów. Gniew skłaniający dobro do czynienia zła. Nawet Bóg potrafi unieść się gniewem, nieprawdaż? I choć wiemy, że gniew Boży jest gniewem sprawiedliwym, z ochotą doszukujemy się owej rysy na boskim pancerzu. Bóg zagniewany to Bóg ludzki, bardziej zrozumiały przez tłuszczę niż ten, którego zwiemy miłosiernym...

Wykład, pomyślał niechętnie Rud. Kapelan dopiero się rozkręcał.

– Gniew nie jest zatem grzechem niskim, jak choćby łakomstwo, chciwość czy rozpusta. Nie jest też tak uwłaczający jak zazdrość czy tak krótkowzroczny jak próżność. Jest zaprzeczeniem gnuśności, gdyż mało który grzech jest aż tak aktywny. Mówią o nim, że łatwo łączy się z pychą, ale to nie do końca prawda. Gniew pozostaje gniewem. Gdy on przejmuje władzę, pozostałe grzechy blakną i drżą...

– Po co ksiądz przyszedł? – wycedził sucho Malkolm. – Nie zamawiałem zdrowasiek ani moralnej pogawędki.

– Przecież wiesz – odparł kapelan, unosząc nieco głowę. – Po to, by dać ci wybór. Oto on, synu: skrucha lub gniew. Wejrzyj więc w swoje serce i znajdź właściwą odpowiedź.

Tatusiu! Ratunku!

– A jeśli nie chcę? – spytał Rud. Kruk wolno pokiwał głową.

– W tej chwili gniew cię rozświetla – powiedział powoli, kierując ślepy wzrok wprost na twarz Malkolma. – Ten żar, który odczuwasz i który rozrywa ci serce, nie jest jednak dobrem. To ogień, który cię spali. Gdzie bowiem tkwi serce prawdziwego zła? Gdzie jest jądro ciemności? Kryje się ono w wierze, synu. W pewności, że zło jest dobrem. Prawdziwy mrok nie musi być bowiem ciemnością. I piekło jarzy się jasnym płomieniem. Płonie tak poprzez gniew.

Tatusiu! Pomóż mi!

– Nie muszę tego słuchać – powiedział powoli Rud.

– Nie – przyznał kapelan, wstając z wysiłkiem z przychy. Do Ruda doleciała nagle słaba, słodko-kwaśna woń oddechu więziennego kruka. – Rozumiem cię. W gnie-

wie jest moc, tak. Lecz cóż pozostanie, gdy gniew wygaśnie? I co wypali ów płomień? Myślałeś o tym, synu? Myślałeś o tym, co pozostanie... – uniósł lekko laskę – gdy zgaśnie owa światłość?

Rud nie odpowiedział. Cofnął się do ściany i dotknął przycisku awaryjnego wezwania strażnika. Zabrzącało. Klawisze weszli szybko, najwidoczniej czekali tuż za drzwiami. Jeden z nich podszedł i wyprowadził kapelana na zewnątrz. Dwóch pozostałych zostało, patrząc na Malkolma z czymś, co wziął z początku za objaw dziwnego, niezrozumiałego współczucia.

– Już czas, Rudecki – powiedział po chwili mężczyzna, wyciągając pilota ECS. – Dostałeś swój wybór. My damy ci kolejny.

– Jaki? – spytał ochryple.

– Albo pójdziesz spokojnie, dwa tysiące pięćdziesiąt dwa – wyjaśnił drugi strażnik. – Albo uruchomimy chipa, jeśli będziesz wierzał. Dla nas to bez różnicy. Rozumiemy się?

Malkolm nie odpowiedział. Milczał.



Gdy szli, wszystkie lufciki w celach były zamknięte. Nikt do nich nie wołał, nikt nie krzyczał. Krokom towarzyszyło tylko dudnienie – cichy odgłos miarowego uderzania w drzwi. Ostatni, żałobny akord nadawany przez więźniów. Akompaniament śmierci.

Kierowali się w stronę zewnętrznego baraku i gdy tylko Malkolm zrozumiał, gdzie go prowadzą, szarpnął się mocno i krzyknął. Byli na to przygotowani. Nacisnęli

przycisk jedynie raz, dając mu lekką dawkę, i poczuł, że jego mięśnie wiotczeją. Nagle obwił na rękach strażników, wszystko pokryło się lekką mgłą. W ten sposób pokonali resztę dystansu i przeszli przez dobudowany korytarz, łączący blok B z osławionym barakiem.

– Wolałbym już gaz – usłyszał mamrotanie drugiego klawisza. – Jak w kantonie Mannheim. Tam od razu jest masowo, a nie ten cały cyrk. Cały ten czynnik odstraszający jest o dupę potłuc. I tak przecież nie widzą.

– Za dużo gadasz – zauważył pierwszy, ucinając pogawędkę. Rud zaczął jeszcze ciężiej powłóczyć nogami, impuls nadany do chipa wciąż błędził mu po ciele. Czuł, że zbiera mu się na wymioty.

– Tędy go – stęknął drugi. – Ciężki, cholera... napałkował się...

– Gówno tam, napałkował. Miał tę... firmę warsztatową... to się tam... czekaj, tak go weź... tam się narobił.

– A, mechanik... Dobra, mam.

– To szef tych, no... z synchronicznych. Nap...rawy, holowizja i te tam... z SynchronWork. Oni się różnymi gów...nami zajmowali. Spora... firma.

– Dobra, nie gadaj, tylko ciągnij! Już?

– Teraz.

Rud zmrużył oczy.

Pomieszczenie było średniej wielkości, miało może dwadzieścia kilka metrów kwadratowych. Przedzierało je przepierzenie z przezroczystej plastmasy. Po jednej stronie stało kilka starych plastikowych stołków i aparatura. Po drugiej – krzesło, do którego powoli go prowadzono.

– Słuchaj, dwa tysiące pięćdziesiąt dwa – mruknął do niego pierwszy strażnik. – Chcesz, to cię pyknę. Jak dam

pełną moc chipa, to się wyłączysz. Nic nie poczujesz. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Malkolm otworzył usta. Chciał coś powiedzieć, ale z gardła wydobył mu się tylko niewyraźny bełkot.

– Za mocno mu... – zaczął drugi klawisz, ale pierwszy uciszył go szybkim syknięciem. Ktoś się do nich zbliżał.

– Proszę o ulokowanie osadzonego na krześle – odezwał się znany już Rudowi głos prawnika Damiana Sobisa. – I o oddanie mi pilota. Czy więzień został potraktowany ECS?

– Rzucił się... – chrząknął pierwszy klawisz.

– Mówiłem, żeby nie stosować! – syknął urzędnik, odbierając piloty. – Dzisiejszą egzekucję zaszczyca swą obecnością gubernator! Jeśli zobaczy, że skazany to wartywo...

– Przecież kontaktuje... – mruknął drugi z mężczyzn. – Lekko było...

– Już widzę, jak lekko! Sadzajcie go.

Nie, pomyślał niewyraźnie Rud. Pod powiekami migotała mu twarz Lidii, dziwnie wymieszana z twarzą Tulpen i niewyraźną twarzą ciężarnej żony – żony, której nie mógł i nie chciał pamiętać, bo samo wspomnienie sprawiało, że ciemniało mu przed oczami. Ktoś go szarpnął i poczuł nagle twarde siedzisko krzesła i jego metaliczny, martwy chłód.

– Nie, golić nie trzeba – usłyszał jak przez mgłę. – Tak, gąbka. Nie tu. Dobrze.

Przypinali go niemal dokładnie tak, jak mówił doktor Cukier. Montowali mu elektrody – cztery, na rękach i nogach. Opisywany przez Cukra hełm zastąpiła metalowa,

lodowata opaska z wystającą płataniną kabli, niczym średniowieczna korona. Trwało to krótko, śpieszyli się. Ale nie włożyli mu w usta gumowego klocka – jeszcze nie teraz. Ten ostatni gest zostawili na koniec, na moment, gdy pojawi się główny widz przedstawienia. Jednak na niego nie trzeba było długo czekać.

Gubernator wschodniego kantonu Masovii Konrad Salowski wkroczył do pomieszczenia wolnym, spokojnym krokiem. Jego twarz za plastmasą nie wyrażała niczego – ani radości, ani bólu. Była obojętna i tylko oczy zdawały się palić od jakiegoś przygaszonego, starego żaru. Otaczający go ludzie – niesprecyzowani, szarzy urzędnicy i dyrektor więzienia – stanowili tylko tło. Nie widział ani ich, ani baraku. Nie widział nawet krzesła. Widział tylko przytomniejącą z wolna twarz Ruda.

Nieco to trwało. Malkolm szarpnął się kilka razy, ale skórzane pasy trzymały go mocno. Stojący obok Damian Sobis odczytał skróconą wersję wyroku z mikroczytnika i do Ruda dotarło w pełni, gdzie się znajduje. Krzyknął.

– Słyszysz mnie, Rudecki?

Głos był dziwnie mocny, choć cichy. Trzeszczał od elektrycznego przepięcia. Tkwiący za plastmasą gubernator wstał i podszedł do przezroczystej bariery. W starej, upstrzonej wątrobowymi plamami ręce trzymał prosty mikrofon.

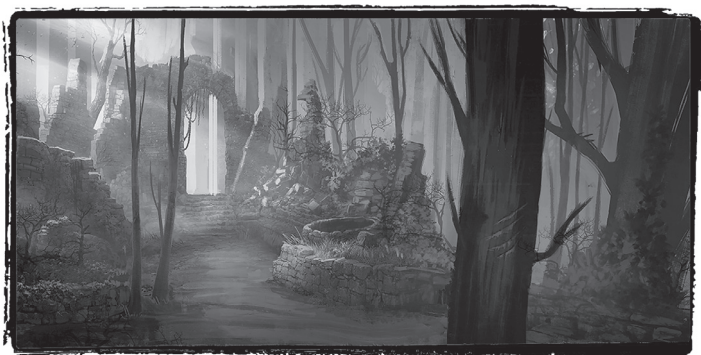
– Zabiłeś mi dziecko, skurwysynu – wychrypiął, powodując niejaką konsternację wśród zebranych w baraku urzędników Cesarstwa. Najwidoczniej tego punktu programu nie przewidziano. – Mojego jedynego syna. I za to będziesz się smażył. Słyszysz, Rudecki? Za to będziesz się smażył...!

– Wykonać wyrok – polecił suchym tonem prawnik więzienny Damian Sobis.

Ale słowa nie były już potrzebne. Zaprojektowana elektronicznie i podpięta do systemu JUDEX aparatura zgodnie z wcześniej ustalonym programem uruchomiła prądnicę, przepuszczając przez skazanego dwa tysiące woltów czystego, zimnego napięcia.

*Thea była bowiem gorąca i miękka, przesycona
niosącym życie światłem... Tak zatem, gdy przebyli
tylko mgielny opar, powiedzieli, że pragną tam
pozostać – w osnowie nieśmiertelnej łaski. Tam więc
pozostali, tam żyli i tam pomarli.*

Odrzuceni, ustęp trzeci,
tekst zakazany Dekretem Czwartym
Pierwszego Dominium



ROZDZIAŁ PIERWSZY

SZALEŃSTWO

Było mu zimno.

To zapamiętał jako pierwsze – przenikliwy, docierający do kości chłód. Chłód i ciemność.

Leżał na czymś – na nierównym, skalistym podłożu, które odebrał z początku jako lekko porowate. Było też wilgotne, tak jak jego więzienny szary drelich z numerem dwa tysiące pięćdziesiąt dwa. To dlatego dygotał – cokolwiek mu zrobili, musieli też oblać go lodowatą wodą. Od ruchowo objął się ramionami, ale zimne, zeszywniałe ręce nie przyniosły mu ciepła. Spróbował w nie chuchnąć, ale nie mógł porządnie zaczerpnąć powietrza. Zauważył za to wylatujący mu z ust obłoczek pary. Ciemność ustępowała.

Za to będziesz się smażył!

Głos gubernatora powrócił do niego, odbijając się echem w wyięzionym mózgu. To wtedy próbował wstać po raz pierwszy, ale gibnął się tylko w bok i upadł. Nie poczuł nawet bólu – nie pozwoliła mu na to zimna, sztywna skóra.

Umieram.

Pierwsza w miarę trzeźwa myśl przysłoniła echo głosu gubernatora. Zakaszał boleśnie, wypływając nieco śliny. W pomieszczeniu – czymkolwiek było – rozległ się cichnący odgłos odbitego od ścian charkotu.

Jedyny plus był taki, że go nie rozebrali. Wciąż miał na sobie więzienny kombinezon, bieliznę, skarpety i zapinane na rzepy bezmarkowe buty. Wciąż czuł też ucisk pozakładanych na ręce i nogi elektrod – choć już ich nie było – tak samo jak metalowej, wciśniętej na głowę obręczy. A więc przysmażyli go tylko. Sprawili, że cierpiał, a potem wrzucili do jakiegoś... kamieniołomu czy gdziekolwiek był. Czyżby Salowski jeszcze z nim nie skończył? Teraz będzie go trzymać tutaj, w jakiejś kamiennej dziurze? Wciąż próbując się podnieść, skulony i drżący jak stary dziadek, Malkolm po raz pierwszy spojrzął w miarę przytomnie. Wracało światło.

Był w jaskini albo też tak to na pierwszy rzut oka wyglądało. Chyba typu krasowego, a więc najbardziej pospolitej, z licznymi naciekami. Na razie dostrzegł tylko kilka wystających z podłoża guzowatych stalagmitów. Gdyby sturlał się na dół z krzywej płyty, rozbiłby sobie głowę. Miał jednak szczęście... Chwileczkę.

Płyta.

To, na czym leżał, nie powstało w sposób naturalny. Grube, pełne starych żłobień i roślinnych wzorów, mu-

siało być czymś na kształt kamiennego nakrycia. Wielkie, wykute w skale wieko jakiegoś włazu? Możliwe, choć nie dostrzegął żadnych uchwytów. A zatem: płyta nagrobna. Skojarzenie nasuwało się samo, tym bardziej że mniej więcej w jednej trzeciej długości dostrzegł wreszcie twarz – a raczej wyżłobioną w kamieniu czaszkę z częścią kunsztownie odwzorowanej fizjonomii – popękaną i cienką tak, jakby jej właściciel cierpiał na przewlekłą chorobę. Cały wizerunek otaczał stary i mokry mech jaskiniowy.

– Śliczny to ty nie byłeś – skomentował Rud ochrypłym od zimna głosem.

Pierwsze wypowiedziane słowa poleciały w mrok i zgasły. Malkolm wzdrygnął się: jeśli leżał na czyimś grobie, to dopiero teraz w pełni to do niego dotarło. Tak jak i pozostałe elementy nareszcie widzianego w pełni pomieszczenia.

Jeśli rzeczywiście była to pieczara, to ktoś zrobił z niej istny grobowiec. W naturalnie uformowane ściany wkomponowano niewyraźne wykusze i popękane słupy. Wysokie sklepienie pokryte pajęczymi wspornikami wyglądało na dziurawe, i to przez owe dziury do wnętrza dostawało się nieco srebrzystego światła. Na zewnątrz musiała być noc – jej miękkiej, gwiazdny blask oświecał porozrzucane wokół katafalki, upiorne freski przedstawiające odziane w płótna szkielety i stare fragmenty zartartych przez czas rzeźb.

W licznych wykutych w ścianach niszach widać było odłamki starych dzbanów i resztki wyschniętych gromnic. Katakumby, uznał, powoli zbierając się z płyty. Ale gdzie? Jedyne podziemny cmentarz, który widział,

znajdował się w kantonie rzymskim – ale nie robił wrażenia takiego ogromu. Kto zresztą robiłby coś takiego po jaskiniach? Etruskowie? Nie kojarzył, by coś takiego było w kantonie Masovii. Może w byle europejskiej Francji?

Cóż, miejsce wyglądało na bardzo stare. Nikt go też chyba nie utrzymywał, nie wspominając już o renowacji. W zasadzie wyglądało tak, jakby ktoś odpalił w środku baterię granatów. Wskazywały na to choćby złamane w pół kamienne płyty, które powinny okrywać krzywe sarkofagi o zatartych przez czas inskrypcjach. Brakowało tylko pajęczyn i walających się wokół starych grobowych szat. Może to przez wilgoć; swoją drogą, jaki był sens budować cmentarz, który z wolna, ale nieustępliwie drąży podziemna woda?

Zaczął iść, niepewnie i chybotliwie, wciąż obejmując się ramionami. Gdzie, nie wiedział. Na logikę powinien tu zostać do rana. Na zewnątrz mogło być zimniej, ale na zewnątrz musiała też być cywilizacja. Choćby jakiś kościół przy cmentarzu. Budynek administracji zarządzającej tym obiektem. Droga i stacja benzynowa. Jednostka wojskowa podpadająca pod jurysdykcję Salowskiego... Nieważne. Niechby to było cokolwiek. Cokolwiek, co mogło mu pomóc przeżyć.

Drepcząc po nieforemnym podłożu, dopiero po jakimś czasie zaczął rozglądać się za czymś, co mógłby ewentualnie rozpaść. Problem w tym, że nie miał przy sobie zapalek. Jego ulubiona stalowa zipo została w więziennej przechowalni i nigdy jej nie odzyskał. Palić nie palił, wyleczył się szczepionką, ale zapalniczka została. Co zatem? Będzie pocierać patykiem o patyk? Bzdura. Musiał coś jednak wymyślić albo liczyć się z zaawanso-

wanym zapaleniem płuc. O śmierci z wyziębienia nie wspominając.

Kilka kroków dalej potknął się o żelastwo.

Trochę tu tego było, zapewne jako element dekoracyjny, ale niestety – wszystko wyglądało na przerdzewiałe. Nieco okrągłych uchwyty, które oderwały się od sarkofagów. Ułamek starej kraty. I – co zauważył z niejakim zdziwieniem – resztki czegoś, co niegdyś musiało być mieczem.

Nachylił się i podniósł owe przeżarte przez rdzę kawałki, wcześniej biorąc w dłoń urywek jakiegoś podarowanego materiału, niemal rozpadającego się w palcach. Lepiej jednak było wziąć ów zetlały strzęp, niż skaleczyć się i narazić na tężec. Potem bez większego przekonania złapał za w miarę suchy kamień. Uderzył o zardzewiały metal... ale nic się nie stało. Nie skrzesał nawet jednej wątej iskry.

Cudownie.

Znów ruszył przed siebie, trzymając w ręku swoje znalezisko. Kroczył mechanicznie, kierując się plamami rzucanego przez wykusze nocnego światła. Na plus było z pewnością to, że rozruszał się i tym samym nieco rozgrzał. I żył, choć w to ostatnie trudno mu było uwierzyć.

I za to będziesz się smażył!

– Obiecanki cacanki – wymamrotał ni to do siebie, ni to do obecnego w głowie głosu gubernatora. Co w zasadzie się przydarzyło? Puścili mu mniej woltów? Zapewne takie założenie było od samego początku. Po cholere go jednak zanosić na jakieś kamienne zadupie? Nie lepiej było go zabrać do wymazanej z mapy rezydencji, by bawić się w nocne przypalanki i inne wymyślne

rozrywki...? By patrzeć, jak skręca się z bólu... i nie pozwolić mu umrzeć?

To wszystko nie miało najmniejszego sensu. A już najmniej miało go to, że nie mógł znaleźć wyjścia.

Z początku szedł przed siebie bez wyraźnego planu. Potem zaczął myśleć. Logiczne wydawało się iść tam, gdzie jaskinia się rozszerza, lub znaleźć cokolwiek wskazującego na efekt działania cywilizacji. Przybite do ścian strzałki pokazujące drogę. Puszki po piwie i neocoli. Foliowe torby i podeptane niedopałki. I szklane oczy obserwujących katakumby kamer.

Niestety, nic takiego tu nie było. Tylko wariacje na temat nisz, pokruszonych słupów i ciosanych, ślepych bram z płaskorzeźbami w tle. Tym ostatnim dokładniej się przyjrzał: nie wyglądały zbyt zachęcająco, choć stworzono je z precyzją wskazującą na wysoki kunszt kamieniarzy. Szkielety – ni to ludzkie, ni to zwierzęce, o miejscami zaburzonych proporcjach – niosły w kościstych dłoniach broń białą i latarnie. Ich zewłoki były spowite przez porwane proporce i całuny.

Znajdowały się tam również niby ludzkie, zakapturowane sylwetki, otwierające grube książki bądź skulone w zaklętym w kamień cierpieniu, wskazujące palcem na płataninę fantazyjnych istot o kształtach wyciągniętych z horroru. Wszystko było zatem upiorne, choć Rud musiał przyznać, że w pewien sposób fascynujące, i w innej sytuacji z chęcią skoczyłby tu z własnym mikro, by zrobić serię holograficznych zdjęć. Ale na razie ciekawość i zachwyty przytłumiał chłód. Co gorsza, zaczął pojawiać się kaszel i Malkolm pomyślał, że jeśli nie zachoruje, to będzie to cud równy ocaleniu z elektrycznego krzesła.

To, że ocalenie mogło być chwilowe, zrozumiał po półgodzinie bezsensownego marszu.

Koncepcję z podziemną jaskinią odrzucił szybko – podejrzewał, że chodzi po wnętrzu góry, na co wskazywały coraz liczniejsze wykusze, przez które dostawało się światło gwiazd. Miejsce, w którym się przebudził, musiało jednak być fragmentem kompleksu pieczar, bo dopiero po kilkunastu minutach zaczął wychodzić na wielkie, kamienne przestrzenie o formowanych ścianach. To ostatnie zdumiało go najbardziej – ktoś zadał sobie trud, by nie tylko wykuć w skale krzyżowo-żebrowe sklepienia, ale i kolumny wspierające puste balkony i przyporowe łuki.

Praca ta była nie tylko monumentalna, ale i bezsensowna. Po cóż tak drążyć skałę, skoro jej wnętrze trzymało się samo z siebie? Malkolm, prowadząc swą firmę, niejednokrotnie napotykał problem, z którym musiała poradzić sobie jego ekipa – czy to mechaniczny, czy konstrukcyjny – ale ten, kto zaprojektował owe katakumby, wykazał się brakiem pomysłu. To było kompletne marnotrawstwo sił i środków.

Wciąż rozglądając się wokół, doszedł wreszcie do mostu nad ziejącą rozpadliną, wyciągniętego w mrok nieczym cienki jęzor skały. Zawahał się: kamienna kładka nie miała żadnych zabezpieczeń czy poręczy i wyglądała na taką, która niekoniecznie przeniesie go na drugą stronę. Tam jednak – co dobrze widział – było więcej światła, zupełnie jakby dochodził do cieńszej warstwy skał, pełnej dziur prowadzących na zewnątrz góry.

– Cholera jasna – wymamrotał, stawiając pierwszy krok na moście. Zęby wciąż szczękały mu z zimna. – Pieprzone grotłożenie. Spadnę.

Na szczęście most był dość szeroki – przynajmniej na dwa metry – i nie był jedyną przerzuconą nad przepaścią kładką. Na lewo – jakieś dwadzieścia metrów dalej – pysznił się spory wiadukt, niestety, ułamany w połowie. To tędy zapewne przenoszono niegdyś materiały i ciała, by złożyć je w tym cmentarnym labiryncie.

Malkolm ruszył, niechętnie zerkając w dół. Tkwiło tam coś, co wziął za grupę kamiennych zabudowań, wydobywanych z mroku jedynie przez kilka pasm srebrnego światła. Nie potrafił oszacować, jak głęboka była przepaść, ale ocenił, że leżące w dole budowle musiały mieć wielkość typowych kantonowych bloków z wielkiej płyty. Widząc coś, co można było wziąć za fragment podziemnego miasta, krzyknął więc, po raz pierwszy wołając o pomoc. Ale odpowiedziało mu tylko echo i odległe kapanie z jakiegoś ukrytego nacieku.

Chociaż nie. Było chyba coś jeszcze – coś jak odgłos osypującego się żwiru. Rud przyspieszył kroku – dźwięk dochodził zza drugiej strony mostu i choć już cichł, dodał mu nagle nadziei.

– Jest tam kto?! – krzyknął. W tej chwili było mu już wszystko jedno: jeśli była to gra gubernatora, to postanowił ją skończyć. – Odezwijcie się! Na pomoc!

Odpowiedziała mu cisza.

Ostatnie metry pokonał niemal truchtem, na moment zapominając o chłodzie. Już widział, że dochodzi do wyjścia, bo niecałe dwadzieścia metrów dalej widać było rozłam: sporą salkę upstrzoną skalnymi zlepieńcami, przypominającymi niewielkie menhiry ustawione pionowo na kształt nieforemnych kolumn. To, co znajdowało się na ziemi, już znał: kolejna seria zmurszałych ze starości

grobow o popękanych płytach. W częściowo tylko zakopane sarkofagi wrosły korzenie i skalny mech.

Rud zatrzymał się, zakaszał. Na zewnątrz lekko wiało – salka okazała się wysuniętą, szeroką półką skalną, wyglądającą niczym kamienny, wystający z gór jęczor. Na zewnątrz panowała ciemność. Czarne niebo zakrywały burzowe chmury. Gdzieś w dole – po słabo widoczny horyzont – ciągnęła się ciemna, niewyraźna linia. To musiał być las.

– Zadupie – wymamrotał, rozglądając się niepewnie. – I jak mam teraz zejść z tego...

Nie dokończył. Pomiędzy grobami był ksiądz.

Odziana na czarno, skulona sylwetka siedziała niedaleko na jednym z otwartych grobowców i grzebała w środku łapczywymi chudymi dłońmi. Malkolm widział głównie jej plecy. Wzdrygnął się. Spodziewał się wszystkiego, ale nie więziennego kapelana. Stał więc przez moment niczym sparaliżowany, słysząc, jak ksiądz mamrocze do siebie jakieś niewyraźne słowa, zagłuszone częściowo przez przedburzowy powiew.

– Dobry... – usłyszał wreszcie wyraźniej skrzekliwy głos. – Och, dobry, dobry...

Nadchodząca nawałnica wydobyła z siebie basowy pomruk. Razem z nim pojawił się nieco silniejszy wiatr, który zdarł kaptur z czarnego habitu kruka tak, że Rud dostrzegł wreszcie swój błąd.

Siedząca na grobie postać nie była kapelanem. Podmuch poszarpał jej długie, siwe włosy. Ale odziana na czarno sylwetka nie przejmowała się fryzurą. Sięgnęła głębiej, by – ku obrzydzeniu Malkolma – wyszarpnąć z grobu nadgniłą trupa głowę z czymś przypominającym przerdzewiałą koronę.

– Jesteś, mój miły Konradzie... – wycharczała istota, zrywając ozdobę i odrzucając ją niedbale w porastający podłoże mech. – Och, taki dobry... i taki martwy... lecz nie zakopany głęboko, o nie. Nie głęboko, lecz tu: w Czatowni. I patrz – dodała, unosząc lekko zmurszały czerep, jakby pragnęła ukazać mu skryty w ciemności krajobraz – gdzież twe starania? I gdzie wysiłki? Jeden z wielu... – dodała do siebie – jeden z wielu. Odrzucony.

Rud skrzywił się. Nie wiedział, czy ma się odezwać, czy odejść, ale coś trzymało go w miejscu. Czy naprawdę usłyszał imię gubernatora? Zapomniał na chwilę o przenikliwym zimnie. W powietrzu unosił się mdły zapach ozonu, zapowiedź solidnej burzy. Okolica znowu zagrzmiała, wiatr stał się silniejszy. Malkolm nie mógł tego ciągnąć. Otworzył usta, ale zanim powiedział choćby słowo, istota spojrzała w bok, i nagle Rud ujrzał jej twarz.

Była to stara kobieta – w zasadzie wyjątkowo stara: blada i chuda, o popękanych ustach. Jej twarz, choć pomarszczona, wyglądała na dziwnie napiętą, tak samo jak skóra na pokrytej plamami dłoni o długich, czarnych od grzebania w ziemi paznokciach. Nie widział dobrze jej oczu, ale nawet z tej odległości dostrzegł ich dziwną szklistość – kimkolwiek była owa starucha, z pewnością nie grzeszyła już dobrym wzrokiem.

Nie zauważyła go jeszcze, wciąż zapatrzona w swą zdobycz. Nagle szybkim i zdecydowanym ruchem wbiła rękę w przegniłą szyję trupa, szukając palcami resztek skostniałej żuchwy. Wyglądało to tak, jakby zamierzała zrobić z głowy pacynkę. Rudowi zebrało się na wymioty.

– Dawaj, co miałeś, nocny kuku – zanuciła starucha. – Daj Matce Gerdzie, o tak. Czyż nie słyszałam, jak

szepczesz w ciszy? Jak snujesz się w cieniu? Mój Krąg, Konradzie, mój własny... nie twoje martwe królestwo! Pragnę posłuchać, jak jęczysz! Śpiewaj, nocny kuku, och tak. Dobry, dobry... – dodała, usiłując poruszać szczęką trupa, jakby upiorna pacynka miała powtórzyć jej słowa. – Och, jestem dobrym Konradem – zanuciła i Malkolm z przerażeniem usłyszał, że głos zmienia się w męski i chrapliwy. Mówiła ona czy głowa? – Chodźcie do mnie, schronić się pod me skrzydła. Chodźcie do mnie. Och tak. To ja, król Konrad. Odrzucony. Powróciłem z Martwej Krainy. Przyjdź do mnie, Matko Gerdo. Och, niechże cię ucałuję...

To musiały być jakieś zwidy, z zimna, stresu i wyczerpania. Dość, że Rud zobaczył nagle zaciśnięte usta staruchy i poruszające się przegniłe wargi trupa. Nie stanowiłoby to może aż takiego problemu, gdyby nie fakt, że trzeszczący, męski głos zdawał się dobywać z ust pacynki.

Matka Gerda – o ile istotnie tak się nazywała – przekrzywiła lekko głowę, by wreszcie przysunąć swe wargi do warg trupa. To była sekunda: nagle wpiła się w nie chciwie, gładząc drugą, wolną dłonią zeschnięte kości i zasuszoną skórę policzków. Rudowi zwidziało się nagle, że martwe powieki głowy unoszą się lekko, jakby pocałunek tchnął w nią zapomniane życie.

Malkolm zaklął z niedowierzania i obrzydzenia. To wystarczyło, by starucha odwróciła się gwałtownie, odrzucając trzymaną czaszkę. Ruch, ku zaskoczeniu Ruda, był szybki i zwinny. Jej oczy lśniły lekko w półmroku.

– Niemartwy? Plugawiec? – spytała piskliwym głosem. – Któż to? Kto nieproszony przybywa do Matki Gerdy? Kto śmiał wejść w jej Krąg?

Rud chrząknął, siłąc się na wymuszony, uprzejmy uśmiech. Obłąkana starucha uniosła się nieco, niczym wie-
trzące zwierzę. Wciąż siedziała w kucki na otwartym grobie.
Z czarnego nieba zaczęły padać pierwsze krople deszczu.

– Przepraszam, że przeszkodziłem – powiedział, czuj-
nie nie wymieniając swojego nazwiska. Jeśli stara koja-
rzyła coś z holowizji... – Chyba się zgubiłem. Czy mógł-
bym skorzystać z mikro? Gdyby była pani tak uprzejma
i zechciała pokazać mi, gdzie...

– Błady! – syknęła stara, przekrzywiając głowę ni-
czym pies. – Zagubiony... och tak. Och tak – powtórzy-
ła, prostując się nagle i zmieniając ton głosu. – Podejdź
do Matki Gerdy. O tak.

Zagrzmiało i tym razem deszcz lunął naprawdę. Gdzieś
na niebie na ułamek sekundy błysnęło i Malkolm zauwa-
żył, że starucha już biegnie. Sadziła szybko, przeskakując
nagrobki, i zanim zdążył się zorientować, złapała go za
gardło i obaliła na ziemię, po czym schyliła się i polizała
mu twarz. Oddech cuchnął jej słodkotrupim zapachem
szaleństwa.

– Oddaj krew! – rozkazała, otwierając szeroko usta.
Niektóre z zepsutych zębów wyglądały na dziwnie ostre,
jakby specjalnie je spiłowano. – Oddaj lub służ!

To, co stało się potem, stało się bardzo szybko.

Stara błyskawicznie nachyliła się, próbując go ugryźć.
Rud odepchnął ją z całej siły, ale udało mu się tylko po-
łowicznie. Starucha zaśmiała się i wyprostowała, wciąż
trzymając go za gardło. Pociemniało mu przed oczami.

– Puszczaj! – wyrzęził. Nie był nigdy ułomkiem, ale
starucha wyglądała na o wiele silniejszą od niego. Bawi-
ła się z nim jak kot z myszą.

W kolejnym rozbłysku, w narastającym szumie deszczu, zobaczył nagle jej rozbawioną, bladą twarz i oczy, pokryte starczym bielmem. Zaklął ponownie, ale nawet nie przestała chichotać.

– Głupiec Grobowych Gór! – zaśpiewała piskliwie.

Wtedy ją walnął. Jakimś cudem zebrał się w sobie i grzmotnął ją prosto w szczękę. To ją zaskoczyło – na tyle, by lekko zwolniła uścisk. Wówczas to on złapał ją za gardło. Szarpnęła się, a Malkolm z zaskoczeniem zauważył, że aż nią zatrzęsło, zupełnie jakby poraził ją prądem.

Odskoczyła od niego, zrywając się niczym oparzona. Uwolniony Rud uniósł się nieco, masując własne gardło. Zaczął wstawać, podczas gdy stara skuliła się jakieś cztery metry dalej, nie spuszczając z niego wzroku. W półślepych oczach płonęła czysta nienawiść.

– Jak to zrobiłeś?! – wrzasnęła, łapiąc się z widocznym niedowierzaniem za szyję, i po raz pierwszy w jej głosie usłyszał wściekłość. W skalną, przerobioną na cmentarz półkę uderzyła kolejna fala wichru z deszczem: burza rozszalała się na dobre. – Skrzywiony! Odraza! Odraza! Mój Krąg! Mój!

– A weź sobie ten pieprzony Krąg, wariatko! – odkrzyknął. Stara kucnęła i zasyczała niczym kot. – Wsadź go sobie w... – zaczął, ale znowu skoczyła.

Tym razem jednak przewidział, gdzie uderzy, i przesunął się szybko w bok. Poleciała do przodu, na czworakach, niczym czarny pająk. Malkolm machnął nogą, prawie na oślep. Próbował ją kopnąć, ale była zbyt szybka. Zatrzymała się i okręciła wokół własnej osi, natychmiast ruszając do ponownego natarcia. Tym razem się jej udało: trafiła zakrzywionymi pazurami prosto w więzienny

drelich. Tania tkanina puściła, wariatka doszarpała się do skóry. Rud syknął, a babsko zachichotało.

– Doigrałaś się, kochana – mruknął, przyjmując swoją ulubioną postawę bokerską, zapamiętaną jeszcze z treningów w FistClub i szlifowaną w salce ćwiczeń FKW Masovia. Nie miał co prawda swoich rękawic Twins do ciężkich sparringów, ale determinacja, zimno, głód, lęk i złość powinny mu wystarczyć.

Zmrużył oczy, przypominając sobie gadkę Zombreckiego z treningów. Masz zachować skupienie, być cały czas czujny, głądził Zombrecki, który przeskoczył na trenerstwo po rozległym, niemal śmiertelnym zawale. Patrzyć, jak rusza się przeciwnik, i uprzedzasz jego ruchy. Masz prawą dominującą łapę, więc ustawiasz się do niego lewą częścią tułowia, z lewą nogą wysuniętą do przodu i opartą całą stopą o podłoże. Prawa noga z tyłu i pół kroku w prawo od lewej, nogi ugięte, ciężar rozłożony równomiernie, tułów wyprostowany. Czaisz bazę, chłopaczku?

– Czaję – mruknął do siebie Rud. Ale było to wszystko, co zdążył powiedzieć, bo stara skoczyła ponownie.

W tym też momencie strzeliła adrenalina i Malkolm zobaczył wszystko z lekkim spowolnieniem: wykrzywioną gębę obłąkanej staruchy, jej siwe włosy i strugi siekącego deszczu. Uderzył, gdy tylko się zbliżyła: cios prosty prawą ręką w głowę, z lekkim wykrokiem, przerzutem ciężaru ciała na lewą nogę.

Trzasnęło i stara poleciała do tyłu, uderzając plecami o jeden z nagrobków. Cios był mocny, ale zaskoczony Rud zauważył, że obłąkana utrzymała się na nogach, choć potrząsnęła w zamroczeniu głową. Zza warg wy-

płynęła jej strużka bladoczerwonej krwi, szybko zmytej przez deszcz. Stara otarła usta rękawem. Splunęła.

– Teraz zginiesz, Skrzywiony głupcze z Grobowych Gór – powiedziała. – To Krąg Matki Gerdy! I tylko jej!

– Już mówiłem, gdzie możesz sobie wsadzić ten Krąg – odwar knął. To było jakieś szaleństwo i chyba zaczęło mu się udzielać. – Problemy ze słuchem?

Na tym dysputa się skończyła. Stara uniosła się i nagle, bez uprzedzenia, dotknęła obiema rękami ziemi.

– Zbudź się, Theo! – syknęła. – Zbudź się dla Matki Gerdy! To mój Krąg!

Coś zatrzeszczało.

Burza nadal szalała, w oddali uderzył piorun. Deszcz coraz częściej zacinał na ich skalną półkę. Malkolm skrzywił się z niesmakiem. Nie wiedział: podejść same-mu i sprać ją po łbie czy czekać, aż znowu zaatakuje? Był zły. Nie czuł takiej złości od...

Tatusiu! Pomóż mi!

...od bardzo dawna. Niemal ciemniało mu przed oczami. I może to sprawiło, że się zawahał. Powoli opuścił gardę.

– Posłuchaj... – zaczął, ale w tym momencie skalna półka pękła.

Szczelina wykwitła niczym uderzenie błyskawicy, od wbitych w ziemię pazurów staruchy wprost do jego stóp. Była nierówna, zygzakowata, ale prowadziła wprost do niego, mijając po drodze sarkofagi i rozkopane groby. Przez górę przeleciał huk narastającego gromu.

– Zbudź się, Theo! – wyła stara i Malkolmowi wydało się, że wszystko na skalnej półce drży, począwszy od samej ziemi, po kości i kamienne groby. Wstrząs sejsmiczny?

Rud cofnął się w stronę otwartej górskiej gardzieli. Ale nie wszedł jeszcze do środka. Jeśli zbliżała się jakaś lawina, mogło zasypać wejście, a nie uśmiechało mu się wędrować z powrotem po gigantycznych katakumbach. Starucha tymczasem powtarzała swoje wezwanie i szczelina jeszcze się powiększyła, sprawiając, że pozbawiony oparcia Malkolm runął na plecy.

– Do diabła! – zaklął, ale Matka Gerda już była przy nim. Drapnęła go znowu do krwi, tym razem po twarzy, i natychmiast wymierzyła kolejny cios, w żołądek. Chichoty i wyzwiska się skończyły: najwidoczniej zamierzała skończyć z nim szybko i skutecznie.

Odruchowo zasłonił twarz rękami, ale niewiele to dało. Walnęła go raz jeszcze, zupełnie jakby należała do bokserskiej wagi ciężkiej. Rud skulił się z bólu.

Zabije mnie, pomyślał półprzytomnie. Ta naćpana wariatka mnie zabije...!

Nie wiedział do końca, jak to się stało. Już odpływał, z trudem osłaniając czaszkę. Stara trzymała go mocno nogami, silnymi jak u zapaśniczki. Ale w momencie, gdy po kolejnym ciosie głowa odskoczyła mu na bok, dostrzegł kawałek upuszczonego żelastwa znalezionego w katakumbach. Próbował nim skrzesać ogień, potem musiało mu wypaść... dość, że teraz po nie sięgnął. Złapał mocno, raniąc sobie palce. I ciachnął.

Zardzewiała stal wbiła się w bok staruchy niczym zdradziecki cierń. Kobieta zawyła. Przestała go okładać. Rud wykorzystał to: szarpnął się i znowu walnął ją w szczękę. Upadła, ale tym razem nie dał jej wstać. Ostatkiem sił podniósł się i rzucił na leżącą, łapiąc ją za gardło i ściskając tchawicę.

Upiorna starucha zaczęła się miotać i rzeżić. Z jednej strony próbowała rozewrzeć mu ręce, z drugiej – wyciągnąć z boku zardzewiały kawałek metalu. Ale Malkolm już tego nie widział. Odpłynął, zatapiając się w krwistej czerwieni...

Tato!

...która już kiedyś przysłoniła mu cały świat. Dyszał ciężko z wysiłku, kropla po kropli wyciskając życie z obłąkanej. Stara nie chciała jednak umrzeć i, choć brzmiało to paradoksalnie, powoli zyskiwała przewagę. Jego siły słabły, ale jej zdawały się utrzymywać na równym, morderczym poziomie. Rzeżąc i charkocząc, zaczęła gorączkowo machać rękami, usiłując go dorwać – na szczęście bezskutecznie.

– Zdechnij wreszcie! – wrzasnął z rozpaczą i wtedy coś się stało.

Starucha nagle zadrgała, tak jak wówczas, gdy chwycił ją po raz pierwszy. Oczy uciekły jej do góry, odsłaniając białka. A sam Malkolm poczuł, jak palce sztywnieją mu od lodowatego zimna przewodzonego napięcia.

Ciało Matki Gerdy zadygotało. Otworzyła usta, ale zaskrzeczała tylko wronim, zachrypniętym skrzekiem. Spojrzała na Ruda z wyraźnym zdumieniem i rozpaczą. Jej półślepy wzrok nagle zniknął i mężczyzna dostrzegł, że pokryte wcześniej bielmem oczy stały się żywe i błyszczące. Odbicie gwiazd? Błyskawicy? A może ślad rozpalonych iskier?

Tak skończyła, wciąż miotając się w jego uścisku. Puścił ją dopiero, gdy zauważył, że pod jej skórą coś błyszczy – jakby palił ją wewnętrzny ogień. Czy zaczęła dyć? Odsunął ręce od trupa – bardziej z przerażenia niż

z rozsądku – widząc jeszcze, jak od końcówek palców ciągną mu się błękitne iskry wyładowania.

Prąd.

Malkolm zsunął się z martwej. Obite ciało bolało, kręciło mu się w głowie. Co to niby było? Ostatnie wyładowanie ECS? Czy zwykły chip kontrolny mógł mieć taki potencjał? Nie... Bez szans, by oddał takie napięcie. Wyjaśnienie było jedno: obłąkana też musiała mieć w sobie Electronic Chip Supervision i ktoś w pobliżu, być może ukryty między grobami, puścił jej pilotem śmiertelną dawkę napięcia. Jakimś cudem jego to nie trafiło... poszło mu tylko po palcach.

Czy coś takiego było w ogóle możliwe, tak silny sygnał ECS? Nie wiedział. To wszystko nie trzymało się kupy... ale musiało, bo jeśli nie...

...bo jeśli nie, to ją zabiłem, pomyślał. Jezus Maria, zabiłem ją... zabiłem tę oszalałą wariatkę...

Implikacje tego prostego stwierdzenia przytłoczyły go nagle, zaciemniły obraz. Zabił. Nie, to niemożliwe...

Dotknął leżącego ciała, sprawdził puls. Nie było. Złożył ręce, położył je na klatce piersiowej starej i zaczął przeprowadzać reanimację.



Poddał się po jakichś piętnastu minutach.

Niepewnie i chybliwie wstał. Patrzył jeszcze długo na leżące ciało, by wreszcie powolnym, trzęsącym się krokiem zawrócić w stronę jaskini. Po drodze natknął się jeszcze na głowę, którą stara wyciągnęła z grobu. Zewłók miał otwarte oczy i, jak mu się zdawało, nadal po-

ruszał martwymi, popękany ustami. Rud nie zareagował. Nie myśląc już o niczym, wszedł do pieczary, by schronić się przed wzmagającym się deszczem. I wtedy dopiero się zaczęło. Stres pourazowy.

Z początku ledwo kontaktował – i, w gruncie rzeczy, nie było to takie złe. Siedział na jakimś glazie, na wpół się kiwając, na wpół usypiając ze zmęczenia i zimna. Był cały przemoczony, obity i obdarty.

Później zaczął gorzej oddychać. Z trudem nabierał powietrza i coś go kłuło w boku. Rozboleł go też żołądek. Przed oczami wciąż miał trupa staruszki i cień krzesła w tle – krzesła, na które go wsadzono. Wszystko wydawało się dziwnie nierealne i przez jedną, potworną chwilę wystraszył się, że zwariuje. Towarzyszyło temu dziwne uczucie odrętwienia i niezrozumiałe zawężenie pola świadomości: niby wiedział, gdzie jest, ale nie do końca.

Trwało to jakiś czas, jednak dość łatwo zaczęło przemijać – może dlatego, że to, co doprowadziło go do więzienia, w zasadzie go wypaliło. Wciąż czuł niepokój, ale – co zauważył nie bez pewnej ironii – radził sobie z podobnym szajsem całkiem nieźle. Bądź co bądź, swoje już przeżył. Na tym tle reszta, choćby i traumatyczna, nie potrafiła do końca go złamać.

W końcu zebrał się w sobie, wyszedł na zewnątrz i zaciągnął trupa Matki Gerdy do groty. Sprawdził go raz jeszcze, rzecz jasna bez większej nadziei. Z całą pewnością nie żyła. Co ją konkretnie zabiło – jego działanie czy ów tajemniczy elektryczny wstrząs – trudno było dociec.

Kim była jego ofiara? Z pewnym oporem przeszukał jej habit, ale nie znalazł żadnych dokumentów – nie wiedział nawet, gdzie są kieszenie w tej czarnej szmacie, którą się

omotała. W końcu zdjął z trupa całe ubranie, odsłaniając starcze ciało okutane w jakieś szmaty i paski z wiszącymi woreczkami. Zbierała zioła? Co to miało być? I czemu łaździła boso? Dopiero teraz to zauważył. Tak czy owak, zaczął dokładniej przeglądać zdjęty z niej ubiór. Ale nieboszczka nie miała przy sobie mikro czy choćby zwykłych dokumentów, wydrukowanych na niezniszczalnym neoplastiku. Zero kluczy sygnałowych, zero słuchawek do mikro, zero ładowanych kredytami monet elektronicznych. Już po kilku minutach miał dość tego przeszukiwania. Usiadł, nie mogąc oderwać wzroku od martwego ciała.

Przesiedział tak kilkanaście minut, by wreszcie przełamać się i ostatkiem sił wyciągnąć trupa z powrotem na zewnątrz, w burzę i deszcz. W środku zostawił tylko przemoczony – ale dzięki temu oczyszczony przez wodę – habit i zagadkowe woreczki. Zaczął je rozsupływać skostniałymi palcami. Były cztery: w jednym tkwiły jakieś ususzone pędy, w drugim kilka kamyków przypominających nieco chalcedony. Czyżby jakaś odmiana krzemieni? Spróbował uderzyć jednym o drugi, ale bezskutecznie.

Trzeci woreczek zawierał jakieś proszki zapakowane w niewielkie, chyba szklane, a na pewno brudne pudełka, zaś czwarty – paski suszonego mięsa. Wołowina? Zjadł kilka łapczywie; były wyjątkowo pikantne – ktośkolwiek je przyrządził, postarał się, by zabić smak oryginalnego mięsa, być może już nadpsutego. W tej jednak chwili kompletnie mu to nie przeszkadzało. Skromny posiłek przyniósł coś więcej niż kalorie. Dzięki niemu odzyskał nadzieję.

Dopiero po półgodzinie i po uważnych oględzinach Malkolm zdecydował się założyć czarny habit – albo coś,

co mocno go przypominało. Nie znalazł w nim robactwa, tkanina nie śmierdziała też zbyt i szybko schła. Z boku miała niewielką dziurę – pamiątkę po jego ciosie żelastwem, i była nieco poplamiona krwią. Ale w porównaniu z cienkim więziennym drelichem prezentowała się niczym zimowa kurtka. W innych okolicznościach zastanowiłby się może dwa razy przed założeniem ubioru trupa, ale nie sądził, by miał jakieś opcje. W tej chwili ważne było jedno: musiał jakoś pokonać chłód. Starucha była co prawda niższa, ale i habit wydawał się na nią za duży.

Przesiedział tak około trzech godzin, żując suche mięso i wsłuchując się w miarowy szum deszczu. Teraz było mu ciepło, ale nie kwapił się do snu. Jednak jego ciało miało inne zdanie. W jednej chwili Rud kiwał się lekko, by w drugiej zapadać w nerwową, niespokojną drzemkę. Przysypiał i budził się tak na zmianę, cały czas myśląc, że ona nie żyje, że ją zabił... i teraz po niego przyjdą. Ale kto niby miał przyjść? Nie wiedział. Ludzie Salowskiego?

Znów się otrząsnął. Zdawało mu się, że coś usłyszał. Czy dostrzegł jakiś cień? Ale to pewnie były zwidy, kolejne rzeczy ujrane w malignie, do której doprowadziły go wyziębienie, stres i wyczerpanie.

Burza ustała, gdy przebudził się na dobre. Na zewnątrz wciąż było ciemno i chmury nie rozproszyły się jeszcze, ale nie padało. Ucichł także wiatr. Malkolm wstał chwiejnie, krzywiąc się lekko z bólu. Stara wariatka z pewnością przysporzyła mu siniaków... Ale nie narzekał. Mogło być znacznie gorzej.

Czy naprawdę spotkało go to, co spotkało? Wydarzenia sprzed kilku godzin nieco zblakły... Teraz, gdy był już w miarę wypoczęty, wydały się tak samo umowne

jak wolty puszczane przez krzesło. Czy istotnie próbowali go usmażyć? I czy naprawdę zabił jakąś nienormalną staruszkę? Obłąkaną babcię, zapewne naszprycowaną czymś dającym adrenalinowego kopa?

Cóż... jeśli był odpowiedzialny za jej śmierć, z przyjemnością wysłucha wyroku. Co mogą mu teraz zrobić? Z powrotem wsadzić na krzesło?

Choć, po prawdzie, to ostatnie wydało mu się całkiem możliwe. W końcu wcześniejsza egzekucja musiała być zwyczajną hucpą, próbą wyciągnięcia go nielegalnie z więzienia i usadzenia w jakimś... chorym zoo, stanowiącym rozrywkę dla obłąkańców. Brzmiało to całkiem logicznie. Możliwe, że obserwują go teraz prywatne holodrony Salowskiego, nagrywając, jak się miota i tłucze ludzi po łbie... W sumie zabawny pomysł: wywieźć go gdzieś na kantony Syberii razem z grupką jemu podobnych wyjętych spod prawa politycznych i po podaniu im narkotyków napuścić na siebie. Kim była zatem Gerda? Orędowniczką demokratyczną? Zdziczałą, wrogą cywilizacji autochtonką? A może... rebeliantką, jak Tulpen? Ze wszczepioną chorobą psychiczną?

Cała ta teoria zarazem trzymała się kupy, jak i rozlażyła w szwach. Rud nie czuł się przecież jak ktoś, komu podano narkotyk. Co było zatem bezsprzeczne? To, że gdzieś go wywieziono, i to, że była tu noc. A także to, że jednak chyba naprawdę kogoś zabił – może w obronie własnej, ale zawsze. Pozostawało mu więc tylko jedno: czekać, aż po niego przyjadą. I zawloką z powrotem do kompleksu więziennego, ale tym razem ze sfabrykowanym dowodem ucieczki i holofilmem ukazującym kolejne zabójstwo w taki sposób, by wykluczyć obronę ko-

nieczną. Wszystko po to, by usmażyć go po raz kolejny, tym razem naprawdę, w majestacie cesarskiego prawa.

Lidia.

Imię córki na moment wyrwało go z odrętwienia. Jeśli tu zostanie i zaczeka, aż go zgarną, to już jej nie zobaczy, chyba że na ustawionej rozprawie. A na to nie mógł pozwolić. Musiał więc rozeznaczyć się w sytuacji. I skontaktować się z Lidią. A przynajmniej upewnić się, że nic jej nie grozi. Salowski nie wyglądał co prawda na psychopatę, ale Malkolm wołał mieć pewność, że gubernator nie zrobi nic jego córce.

Dlatego wstał, zebrał się w sobie i – nadal nieco obojętnie – wyszedł na zewnątrz.



Wciąż było niewiele widać.

Na niebie jaśniały pojedyncze gwiazdy – konstelacje nadal zakrywały grube, ciemne chmury. W dole – jakieś trzysta metrów pod skalną półką – ciągnęła się linia lasu. Drzewa wydały mu się bardzo wysokie – czyżby sekwoje? Trudno było stwierdzić. Jeśli wysłali go gdzieś do syberyjskiego kantonu, to patrzył pewnie na tajgę, z jej sporymi jodłami i świerkami. Idąc tym tropem, Rud założył, że wywieźli go na Ural. Kiedy się wychylił, dostrzegł, że zarówno na lewo, jak i na prawo ciągnął się poszarpany masyw górski. Grobowe Góry, co? Na pewno nie jego i nie dzisiaj.

Gdyby tylko wzeszło słońce... Niestety, wyglądało na to, że na świt jeszcze sobie poczeka. Zejść raczej nie zjedzie, nie po ciemku. Nie był nawet pewny, czy zauważona na lewo od występu półki ciemna plama w dole to

zamknięte w niewielkiej misie skalnej jezioro, czy czarna jama kopalni odkrywkowej. To ostatnie nawet by go nie zdziwiło: jeśli istotnie znajdował się na Uralu, to mogli tu kopać za węglem, ropą, solą... a nawet za złotem. Pytanie tylko, skąd stara znała polsko-cesarski? Najwidoczniej ściągnięto ją z jakiegoś kantonowego zadupia... Akcent miała podobny kompletnie do niczego.

Zastanawiając się nad tym wszystkim, zaczął drepnąć i chuchać w dłonie, zakrywszy głowę kapturem. Stała się nie patrzeć na trupa staruszki i leżącą nieopodal głowę, która – rzecz jasna – w żadnym wypadku się nie ruszała. Kolejne z bezsensownych przywidzeń. Zerknął za to na groby i na zatarte inskrypcje, spojrzął do wnętrza jaskini. Tknęło go nagle, że nigdzie nie widzi krzyży. Zatem cmentarz żydowski, arabski czy po prostu miejsce pochówku niewierzących. Ale tak stary?

Jeśli to była Rosja, powinny być prawosławne, bogato zdobione groby, uznał. Do diabła zresztą z tym wszystkim... Jakie niby znaczenie miały jego dywagacje? Gdy tylko zrobi się jasno, dokładnie rozezna się w sytuacji. W końcu Matka Gerda nazwała to miejsce Czatownią. Całkiem trafnie: z tej wysokości obejrzy sobie całą okolicę. O ile mu na to pozwolą. I o ile stąd wcześniej nie zejdzie – co nagle okazało się bardzo prawdopodobne.

Wykute w skale schody zauważył w sumie przez przypadek. Wciąż dreptał w kółko i nagle coś mu mignęło. Może sprawił to nikły promień gwiazd, a może spojrzął pod odpowiednim kątem, dość, że ujrzał zejście. Patrzył na nie przez chwilę niezdecydowany. Ktokolwiek wykuł owe schody, wykorzystał do tego fragment ciągnącego się w dół żlebu. Korytowate wcięcie w skalnej ścianie

niknęło w ciemności. Wprawdzie nikt nie zamontował łańcuchów czy mosiężnych kółek, ale Malkolm uznał, że mógłby tędy zejść nawet po ciemku, o ile chmury nie zakryją kompletnie gwiazd.

O tym, że pomysł nie okazał się tak świetny, jak myślał, przekonał się ledwie po dziesięciu minutach.

Z początku schodziło mu się całkiem wygodnie, ale szybko okazało się, że schody nie są tak dobrze wykute, jak sądził. Być może było tak dawniej, ale dziś miejscami traciły już swą formę lub zostały przysypane przez zwietrzałe fragmenty skał. Dodatkowo tu i ówdzie w skałę wrosły drzewa – niby świerkowate, ale powykrzywiane i ciemne, w zasadzie bezlistne, o grubych, rozłupujących kamień korzeniach. Rud oparł się w końcu o jedno i wydało mu się ono wręcz kleiste – jakby pień zgnił od środka i wypuścił na zewnątrz zepsutą żywicę. Krzywiąc się lekko, Malkolm wytarł rękę o habit, ale zapach – podobny nieco do słodko-kwaśnego oddechu Matki Gerdy – pozostał. Nie było to przyjemne, ale prawdziwy problem pojawił się niespełna dwadzieścia metrów niżej.

Schody urywały się, ustępując miejsca szerokiej skalnej szczyrbie. Coś – może dawne uderzenie pioruna bądź osuwisko – musiało uszkodzić fragment zejścia. Przeskoczyć nie było szans, co najwyżej obejść, rezygnując ze schodów i czepiając się już samej ściany: jej rys, pęknięć, szczelin i ostrych półek.

– I koniec pieśni... – stwierdził Malkolm, patrząc niechętnie na ostatni, widoczny za rozłamem fragment drogi. Szkoda; nie wiedzieć kiedy pokonał już ponad połowę dystansu. Stąd widział nawet, że to, co brał wcześniej za kopalnię, było jednak niewielkim czarnym stawem, oto-

czonym przez wypiętrzoną cembrowinę skał. W toni odbijały się jasne promyki gwiazd.

Rud zaklął. I złapał za skałę. Szybko znalazł oparcie dla stóp, ale zrozumiał, że sporo zajmie mu dokładne obmacanie kamiennych progów i dziur. Nie miał w końcu osprzętu i na myśl o tym, że spadnie, zrobiło mu się niedobrze. Ile mu jeszcze zostało? Nie wiedział. Zaczął pełznąć niczym pająk, sprawdzając trzy razy każdy ze skalnych występów.

Zagrzmiało.

– No chyba jaja sobie robicie! – syknął Malkolm. – Burza? Znowu? A niech was jasna cholera...!

Głędził do siebie, wciąż wyszukując odłamy i pęknięcia. Nerwowy monolog pomagał mu się skupić... choć drżał na myśl o tym, co będzie, gdy znowu lunie deszcz. Na szczęście był to tylko pomruk dawnej burzy, jej ostatnie, leniwe westchnienie. O wiele bardziej powinien przejmować się czymś innym. Malkolm pokonał już bowiem cały dystans, ale źle obliczył wysokość i zawisł jakieś dwa metry nad schodami.

Jak pech, to pech.

Zaczął pomału się zniżać, centymetr za centymetrem. Było to o wiele gorsze od przesuwania się wzdłuż popękanej ściany i dopiero gdy dotknął stopami płasko wykutej powierzchni, odetchnął z ulgą. Obrócił się i stanął pewnie na skale, nagle zdając sobie sprawę, że zimno gdzieś zniknęło. Wysięk i stres zrobiły swoje: po prostu się spocił.

Zostało na oko jakieś sto kilkanaście metrów do podstawy ściany, ale teraz poszło mu szybciej. Co prawda wiadać już było, że schody nie kończą się idealnym, gładkim zejściem – u podnóża góry tkwiło kilkumetrowe usypi-

sko i Rud obawiał się nieco, że gdy na nim stanie, zsunie się razem z gruzem. Najwidoczniej dbające o ów cmentarny zabytek ekipy sprzątające nie otrzymały już od dawna cesarskiej zapomogi. W końcu nie postawiły nawet tabliczek zabraniających wejścia do cmentarzyska w Czatowni.

Malkolm przyspieszył. Po wejściu na usypisko przeszedł jakoś pierwsze kilkanaście metrów, ale nagle – tak jak przewidział – zaczął się zsuwać razem z kamieniami. Krzyknął, a potem przewrócił się i sturlał, wprost ku występom skalnym i zlepieńcom pokrywającym podnóże góry. W końcu zatrzymał się, osłaniając głowę przed spadającymi odłamkami. Miał sporo szczęścia: nie dość, że nie skręcił sobie karku, to nawet niczego nie złamał. Tak czy owak, dotarł na miejsce.

Siedział pod górą – a raczej górskim łańcuchem, którego końca nie widział, podobnie jak i szczytu samej góry. Masyw ciągnął się daleko i chyba zakręcał w prawo, niknąc w ciemności. Co ciekawe, bezpośrednio przed skałami ziemia była popękana i wypiętrzona, lecz dalej stawała się niemal nienaturalnie płaska, pokryta grupką twardzielców. Rud nie dostrzegł ich z góry, ale teraz widział je wyraźnie: krzywe kolumny i głowy kamiennych głazów. Nie było ich wiele. Pomiędzy nimi rosły samotne drzewa, a dalej widać już było las – niczym czarny, gęsty mur.

– Świetnie... – mruknął do siebie. – Zaszana wycieczka.

– To ty? – usłyszał czyjś lekko zachrypnięty, ale młody głos. Wzdrygnął się, szybko zerkając na wszystkie strony. – Jesteś Skrzywiony?

– Gdzie jesteś? – spytał niepewnie i nagle jeden z cieni odkleił się od skały, krzepnąc w niewielką sylwetkę dziewczyny.

Wyszła z ciemności tak, jakby się nagle zmaterializowała, i Malkolm szybko zrozumiał dlaczego. Po pierwsze, nie była wysoka – mogła mieć jakieś sto sześćdziesiąt, może sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Po drugie, była cała ubrana na czarno. Nosiła podobne szaty co obłąkana staruszka, ale w odróżnieniu od niej na ich tle wyraźnie odznaczała się błądźliwość dziewczyny – skórkę miała niemal białą, płonąącą w mroku jak negatyw. Tylko opadające na ramiona włosy były czarne – tak samo jak mocno podkrążone oczy; Rud nie wiedział, czy to makijaż, czy naturalne cienie.

Dziewczyna zaciskała czarne usta i taksowała Malkolma wzrokiem, jakby zastanawiała się, co z nim zrobić. Ładna, choć trudno było ocenić jej wiek. Siedemnaście? Dziewiętnaście? Dwadzieścia pięć? Wszystko tonęło w ciemności.

Gotka, uznał Rud. Ostatnią taką widział na holofilnie jakieś piętnaście lat temu. Ta moda chyba zniknęła... tak jak większość subkultur nieaprobowanych przez Zjednoczone Cesarstwo.

– Pytałam, czy jesteś Skrzywiony – powtórzyła. – Lepiej odpowiedz. I to szybko.

– Cóż... po tej wywrotce niemal na pewno – zauważył.

– Tak – przyznała. – Ładnie spadłeś.

Malkolm chrząknął.

– Słuchaj. Możesz mi powiedzieć, gdzie jestem?

– Pękł Krąg – zauważyła, powoli obchodząc Ruda dookoła i nie spuszczać z niego wzroku. – A skoro pękł, to Matka Gerda nie żyje. Pytałam więc, czy to ty.

– To znaczy?

– Czy ją zabiłeś. I czy jesteś Skrzywiony. Nikt inny nie zabiłby jej tak łatwo.

– Skrzywiony? – zachnął się. – A co to niby znaczy, do cholery?

– Nie wiesz? – zdziwiła się. – Musiałeś mocno uderzyć się w głowę. To Thea – wyjaśniła. – Kraina związana Prostem Prawem. Skrzywieni wyginają jednak to, co proste.

– Prostem Prawem?

– To, co rzucone, upada – objaśniła, uśmiechając się z widocznym pobłażaniem, jak do idioty. – To, co żyje, musi umrzeć. To, co się rodzi, wzrasta. Proste Prawo. Nie wiesz nawet tego?

– Jeśli to twoje określenie na prawa natury, niech ci będzie – odparł. – Wszystko jedno. Może zrobmy tak: pożycz mi mikro, albo chociaż powiedz, gdzie jestem. W zamian ja wyjaśnię, co stało się... z Matką Gerdą.

Dziewczyna zmrużyła oczy.

– Wymiana? – spytała. – Bez upodlenia? Dobrze... niech ci będzie, ale tylko dlatego, że jestem ciekawa. Skrzywiony, który nie wie, co znaczy być Skrzywionym! Nigdy jeszcze nie słyszałam czegoś podobnego...

– Wymiana? – nie zrozumiał.

– Za moje imię – uściśliła. – Jedno z ostatnich. Więcej nie potrzebujesz, a Kruczą Wieżę już masz... ale o tym przecież wiesz.

– Krucza Wieża, co? – prychnął. – Kolejna paranoja wymyślona przez Salowskiego? To ma być scenariusz jego chorej gry? Skrzywieni, Kręgi, Proste Prawo, upodlenia... nie obraż się, kochana, ale to wszystko brzmi jak bełkot. Może trochę jaśniej?

– Wystarczy kropla, więcej mi nie trzeba – wyjaśniła dziewczyna, unosząc lekko czarne, wyrysowane cienko

brwi. – To dobra oferta, gdy chodzi o moje imię. Mówiłam, że mnie zaciekawileś. A ja od dawna nie byłam zaciekawiona. Jak zatem będzie?

Rud westchnął.

– To jakaś paranoja – stwierdził. – Wszyscy tu mają kuku na muniu. Ile zapłacił wam gubernator za tę szopkę?

– Zgadzasz się czy nie? – spytała gotka nieco zimniejszym tonem. Wciąż na niego patrzyła. Jej czarne oczy błyszczały w ciemności, a i ją samą było już widać coraz wyraźniej. Zbliżał się świt. – Mogłabym się nie targować – zaznaczyła. – Mogłabym wziąć, co moje.

– Wariactwo – zachnął się Rud. Wzruszyła ramionami. – Ale w porządku, niech ci będzie – oznajmił, uśmiechając się podobnie jak ona. Jeśli gubernator zamierzał wciągnąć go w jakąś chorą grę, dobrze by było rozeznac się w jej zasadach. – Nie wiem, czego ode mnie chcesz, ale potrzebuję czegoś ważniejszego niż twoje imię. Informacji o popieprzonych wymysłach Konrada... wybaczyć mój francuski. Imię dorzucisz bonusem.

– Informacji? – spytała niepewnie. Malkolm przewrócił oczami.

– Danych – wyjaśnił. – Wyjaśnięć.

– To rozumiem – uznała. – Co zatem chcesz wiedzieć?

Rud westchnął. Co chciał wiedzieć? Cóż, było tego sporo.

– Część chyba rozumiem – uznał. – Jestem gdzieś w kantonie rosyjskim, najprawdopodobniej obok gór Ural. Ty... tak samo jak ta oszalała staruszka, siedzisz w kieszeni gubernatora. Wasza sprawa, nie mam pretensji. Salowski kazał wam jednak mówić, że to nie Rosja, a jakaś

Thea... miejsce, gdzie wysoko cenicie sobie prawo naturalne. Nieco to przygnębiające, ale okej, niech wam będzie.

– Proste Prawo – poprawiła. – Błogosławieństwo Ciemności.

– Czego znowu? – jęknął.

– Ciemności – powtórzyła spokojnie dziewczyna, nie spuszczać wzroku z Ruda. – Mówisz, jakbyś nie wiedział, kto zwyciężył, i to przed erami. Czy nie czujesz triumfu błogosławionej Ciemności nad przekleństwem Światła?

– Dziewczyno, nie bełkocz – poprosił. – Za dużo informacji naraz. Co miało niby zwyciężyć w kantonie rosyj... wróc, na Thei? Ciemność? Zło znaczy? W tym naszym scenariuszu wygrały siły zła?

Gotka kiwnęła niepewnie głową. Rud prychnął.

– To się kupy trzymać nie będzie – uznał. – Koncepcja może ciekawa, ale kraina czy świat, w którym wygrało zło, nie ma prawa funkcjonować. Posypie się to logicznie. Mniejsza zresztą o większość. Zrobmy może tak – zaproponował, sadowiąc się na omszałym kamieniu. Cała sytuacja zaczęła go bawić. – Proste pytania, proste odpowiedzi. Stoi?

– Stoi – zgodziła się.

– No to lecimy – zapowiedział. – Najpierw ta twoja Thea. To jakieś państwo? Kraina? Świat?

– Nie rozumiem, co masz na myśli – odpowiedziała po chwili. – Wszystko jest Theą... choć znajdujemy się dopiero w jednym z jej Odstępów, z dala od Dominiów. Czy naprawdę nie wiesz, gdzie jesteś?

– Odstępy, co? Niech ci będzie. Jestem zatem w Odstępach, czyli, jak rozumiem, na zadupiu. Z dala od czego? Dominiów? Okej, świetnie. A ci Skrzywieni? Wyginają

Proste Prawo Thei, tak? Magicy znaczy? Niech będzie, ich sobie na razie zostawmy. A Kręgi?

– Naprawdę nie wiesz – szepnęła – kim jesteś?

– Za chwileczkę – przerwał jej. – Najpierw, kochana, co nieco o Kręgach, w porządku?

– Najbliższy należy do Kruczej Wieży – powiedziała. – I jest już twój, jeśli zabiłeś Matkę Gerdę, która go stworzyła. Musisz się jednak pośpieszyć... bo jeśli ona nie żyje, to Krąg z pewnością pękł. Kruczą Wieżę szybko zaleje Pomrok.

– Pomrok? – prychnął. – Jeszcze lepiej. Czyli ten Krąg to jakieś magiczne pole siłowe? Chroniące przed Pomrokiem?

Dziewczyna nie odpowiedziała, patrząc na Malkolma niczym cieleń na malowane wrota. Rud westchnął.

– A wiesz, że to rozsadza wam nieco koncepcję świata, w którym wygrało zło? – zauważył. – Skoro zło zatriumfowało, to przed czym się chować? Przed większym złem? Zabawna koncepcja. Dobrze, nie rób takich wielkich oczu. Wyjaśnij lepiej, o co chodzi z tym całym... jak to było? Upodleniem...?

– Czy nie upodliłeś nikogo poprzez swą krew? – zdziwiła się. – Skrzywieni często tak czynią, gdy pragną posiadać sługi.

– I to wszystko wymyślił Salowski? – Malkolm parsknął w odpowiedzi. – Wypijesz krew Skrzywionego i stajesz się Renfieldem z „Draculi”? „Ocal mnie, mistrzu”, i tak dalej? Nic dziwnego, że jego najdroższy synalek był taki popie...

Urwał. To, co było zabawne, nagle zabawnym być przestało. Wspomnienie Cypriana...

Tatusiu, pomóż mi!

...aktywowało kompletnie inne wspomnienia i Rud poczuł, że ma dosyć. Wstał.

– Okej, wystarczy bełkotu – uznał. – Thea nie Thea, spadam stąd. Wzywaj sobie, kogo chcesz. Ciało staruszki jest na górze, na skalnej półce. Zaatakowała mnie... w zasadzie bez powodu. Musiałem się bronić, ale to pewnie i tak nie będzie miało znaczenia...

– Nie! – zaprzeczyła gotka. – Zawarliśmy umowę!

– Co? A, tak. Dobra, niech ci będzie...

– To, co upadło, już nie powstanie – przyznała niejasno. – Wyciągnij rękę.

Cóż, najwidoczniej układ – tak jak wszędzie – trzeba było przypieczętować uściskiem dłoni. Malkolm wyciągnął prawicę, ale dziewczyna zmrużyła tylko brwi, jakby zrobił coś niewłaściwego. Podeszła bliżej, ale nie ujęła jego ręki. Zamiast tego złapała go nagle za palce i dziabnęła czymś ostrym. Syknął, bardziej z zaskoczenia niż z bólu.

– Zwariowałaś?! – obruszył się, wyrывая zranioną dłoń. – Co to miało niby być?!

Dziewczyna nie odpowiedziała. Patrzyła na wąskie, czarne ostrze wyciągniętego sztyletu i na spływającą po nim krew.

– Czerwona i czysta – oznajmiła z lekkim zaskoczeniem. – Słodka.

– Kompletnie cię porąbało... – wykrztusił, z niepokojem zerkając na rękę. Cięcie było gładkie, ledwie go drasnęła, ale czuł nieprzyjemne pieczenie.

– Milcz – rozkazała, zbliżając sztylet do twarzy. – Zaczekaj.

– Na co mam niby... – zaczął i urwał. Dziewczyna polizała sztylet, przymknęła oczy i zastygła w bezruchu.

Zaskoczony Rud patrzył, jak stoi, kompletnie nie zwracając uwagi na niego ani na lekkie podmuchy wiatru. Szarzało już, powoli wracały kolory, ale niechętnie, jakby spętane siwizną parującej mgły.

– Malkolm – szepnęła. – Niech cię Świetlisty! Ciekawe. Tyle w tobie opowieści... i cóż za desperacja! A więc zabiłeś Gerdę? Świetnie.

– Co ty wyprawiasz? – spytał. Nie przypominał sobie, żeby się przedstawiał, ale jeśli i ona działała z poruczenia Salowskiego... – Posłuchaj, kochana. Jeśli myślisz, że dam się w to wciągnąć, to się grubo...

Przerwał. Patrzył, jak dziewczyna otwiera swe wielkie oczy i uśmiecha się do niego. Po ustach wciąż błędziła jej kropelka jego krwi.

– A więc wymiana. Teraz rozumiem... pomyślmy... Marla. Będę dla ciebie Marłą. Oto imię. Przyjmiesz je?

– Jak dla mnie możesz nazywać się i Michasia – uznał. – Może teraz łaskawie przestaniesz ze mną pogrywać i powiesz mi, gdzie jestem? Ale tym razem naprawdę?

– U siebie – odparła Marla, uśmiechając się nieco szerzej. – Pod Grobowymi Górami, przed Kościstym Lasem. Sporo za Nocną Obręczą. Zaledwie pół brzasku leśnym traktem od Kruczej Wieży. Krąg był niegdyś spory, lecz Gerda zbyt wiele razy skrzywiła Proste Prawo. Pójdiesz tam – dodała, wskazując na ścianę lasu. – Na wschód. Już pewnie wiedzą.

– Kto wie? – spytał Rud, krzywiąc się lekko. Dłoń ciągle go szczypała. – Kogo wynajął Salowski? Powiedz

mu, że nie będę brał udziału w jego chorych gierkach! Jego syn... dostał to, na co zasłużył!

– Gniew! – zaśmiała się. Śmiech miała ładny, czysty, zniknęła gdzieś wcześniejsza chryпка. – Prawdziwy gniew! Jesteś niczym dar, głupcze z Grobowych Gór. Niczym cenny skarb! Jeśli nie zginiesz. Choć zginiesz prawie na pewno.

– Bzdury – syknął. Ale dziewczyna już skończyła. Z cichym chichotem pobiegła pomiędzy kamienie.

Normalka, pomyślał Malkolm półprzycie. Obląkane staruchy rzucają się do bicia, a młode dziewczęta piją twoją krew. Była to na tyle paradoksalna myśl, że się uśmiechnął – nerwowo, rzecz jasna, szczerząc zęby jak wygłodniały wilk.

– Czekaj! – krzyknął we mgłę, ruszając tam, gdzie wydało mu się, że zbiegła. – Marla! Cholera jasna! Marla! Nikogo nie było.

Zaczął znów nawoływać. Nie miało to najmniejszego sensu. Głos niósł się daleko: gotka z pewnością go słyszała, ale nie chciała wrócić. Miało to swoje plusy – jeśli pobiegła do jazdolotu, usłyszy choćby silnik. Inna sprawa, że jeśli będzie się dalej darł, to usłyszą i jego.

To ostatnie do niego przemówiło. Rud umilkł, bardziej z przezorności niż z lęku. Zamiast strachu czuł coś innego – narastającą wściekłość. Uczucie było dobre, dalekie od rezygnacji, depresji i stagnacji. I bardzo dalekie od dawnej, niezaleczonej rozpacz.

Chodził jeszcze przez chwilę wokół. Niebo różowiło się już, ale rodzący się świt zdawał się przygaszony i blade, zupełnie jakby promienie słońca z trudem przeciskały się przez atmosferę. Malkolm schylił się, szukając śladów na

wydeptanej trawie – dziwnie poźółkłej, choć mokrej od porannej rosy. Wciąż było sporo błota, pozostałości po burzy. Zebrał nieco wilgoci z kamieni i przetaił twarz. Zlizał też wodę z dłoni. Poranna survivalowa toaleta. Co teraz?

Plan się zasadniczo nie zmienił. Dotrzeć do cywilizacji, przetrwać. O to ostatnie martwił się najbardziej. Nigdy nie był specjalnym fascynatem szkół przetrwania. Nie miał też żadnego sprzętu, a o północy jako kierunku światła wiedział tyle, że rzekomo wpływa na rosnący na drzewach mech. Zawsze wołał skręcać rzeczy, naprawiać je i przekształcać – stąd też jego praca w SynchronWork – ale nie sądził, by umiejętności złotej rączki mogły się w tym momencie przydać. Dobrze chociaż, że Marla wskazała mu kierunek. O ile mówiła prawdę.

Za plecami miał zatem góry, które widział już w całej okazałości. Skoro dziewczyna wskazała wschód i las zwany Kościstym, to góry – na logikę – ciągnęły się grubym, krętym murem z północy na południe. Jak było w tym starym filmie? Czy to nie na wschód należało iść, by natknąć się na cywilizację? Albo chociaż na leśniczówkę... tę całą Kruczą Wieżę czy jak nazywało się to diabelstwo.

Thea, świat, w którym wygrało zło. Magiczni Skrzywieni, Kręgi ochronne, upodlenia, Odstępy... Pierdoły. Ciekawe, ile Salowski zapłacił za wymyślenie tych bzdur. Bo jeśli wykonypował je sam, to ewidentnie powinien zająć się nim lekarz.

Rud, wzdychając, wyciągnął woreczek Matki Gerdy i wygrzebał ze środka ostatni kawałek suszonego mięsa. Ugryzł.

Była to jego ostatnia dająca poczucie normalności czynność.

Krawędź tarczy słońca wynurzyła się z wolna zza wierzchołków wielkich, ciemnych drzew. Była niczym czerwona, pulsująca korona, po której pływały płomienie odległych wybuchów. Taniec rozgrzanej plazmy, piekło kosmicznej lawy. Świt okazał się błądy i choć sunące po lesie złoto urzekło dziwnym pięknem, to słońce – wielka, pomarańczowa kula, śląca ku ziemi ów cień złocznego światła – była potwornym wynaturzeniem, dużo większym od znanej mu życiodajnej gwiazdy.

Malkolm krzyknął przeraźliwie, cofnął się, potknął. Zasłonił oczy pięściami, modląc się, by wizja okazała się przywidzeniem. Ale wielkie słońce wciąż tam było – niepodważalny dowód, apoteoza szaleństwa, udręka. Odsunął pięści, spojrział i znów odwrócił wzrok, wciąż krzyżąc, osuwając się na kolana, uciekając od potwornej prawdy.

Umarł – to już wiedział. Nic dziwnego, że znalazł się w Piekło.



polub nas
na Facebooku

**Kliknij i przejdź do sklepu,
by kupić książkę**



swiatksiazki.pl

Poznajcie
Księgę Zepsucia,
a dostaniecie mroczną,
intrygującą opowieść
o świecie, który wybrał zło.
Bo to Podlewski w nowej,
zaskakującej odsłonie. I jak
zwykle, w wyśmienitej
formie.

MAJA LIDIA
KOSSAKOWSKA



KSIEGA ZEPSUCIA

TOM 1


fabryka słów
WYDAWNICTWO

STRZEŻ SIĘ! OTO NADCHODZI ZWYCIĘSKA CIEMNOŚĆ.

Więzień Malkolm Rudecki czeka na wyrok. Zamordowano mu ciężarną żonę i skrzywdzono córkę, lecz bezlitosny system prawny zamierza skazać go za zabicie morderców. Jego kara będzie większa, niż się spodziewa. Przekonany, że wie, czym jest prawdziwe zło, trafia do świata, w którym to zło jest prawem. Świata, w którym zatriumfowały siły ciemności.

**WITAJ
W DARK FANTASY.**

*Thea jest
zimna, stara i zła.
Zła niezaprzeczalnie.
To dom istot bezwzględnych,
okrutnych i wyrachowanych.
Czy to w istocie piekło,
czy odległa planeta
zanurzona w innym
wymiarze?*

MAJA LIDIA
KOSSAKOWSKA